

# awwo

# awwo

d w u t y g o d n i k  
numer 5 (7) rok II  
dnia 10 marca 1938

CENA 30 GR

Republika i demokracja wloką za sobą  
nikczemne obyczaje i hańbę, nie budują  
nic, wszystko niszczą.

Karol Maurras

Typ demokratyczny po-  
żąda przede wszystkim  
wolności tworzenia, typ  
niewolniczy — „chleba i  
igrzysk”. Pierwszy usiłuje  
sam doskonalić i ulepszać  
swoje życie, drugi żąda  
tylko od państwa.

E. Abramowski

ZYGMUNT JAROSZ

## FRONTEM DO HISTORII

Historia jest nauczycielką życia. (Stare przysłowie) ...ten, co od sumienia historii się oderwał, dzieje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę zamienia się.

(C. K. Norwid)

Duch szybuje, kędy chce. Ale nie jest przypadkiem, że na gwałtownym zakręcie historii myśl ludzka żywiej, niż kiedykolwiek, zwraca się ku wielkim naukom przeszłości.

I nic dziwnego niema też w zjawisku, jakie od szeregu miesięcy obserwujemy na łamach prasy polskiej. A ściślej: jej demokratycznego odłamu.

Kilka przykładów. Każdy prawie numer „Epoki” zawiera artykuł na określony temat historyczny. „Sygnały” wprowadziły specjalną rubrykę pod znamiennym tytułem: „Przypomnienia”, „Robotnik” (zwłaszcza w artykułach swego naczelnego publicysty) raz wraz udziela łamów historycznym reminiscencjom. Podobnie: „Czarno na Białym”. Podobnie: „Albo-”.

I odrazu z całym naciskiem podkreślić należy, że nie jest to już ów rewizjonistyczny strumień, który swego czasu wypłynął z głowy Boy'a. Wprost przeciwnie: w historycznych refleksjach organów demokracji polskiej uderza radosny ton afirmacji, czci i podziwu dla całych fragmentów naszej przeszłości. Nie chodzi już o akcję antybrzoźniczą, o jakieś „przewartościowanie wartości”, o negatywną czynność krytyki. Chodzi o bezpośrednie czerpanie soków żywotnych z wielkiego drzewa historii, o apercpeję wartości pozytywnych. Zamiast „oczyszczenia terenu”, zamiast odkłamywania hagiografii, pragniemy chłonąć z dziejów wszystko dobre, wszystko, co stanowi dla nas może dumę, nadzieję i bodziec do walki... Taka jest naturalna dialektyka prądów umysłowych.

„Przypominamy” więc sobie. Na nowo żyjemy tradycją. Bo wymagają tego czasy wielkiej przemiany — nie zaiste nie mającej wspólnego z mętnym haselkiem „przełomu narodowego”.

I co uderza nas coraz silnie, to fakt, że w łonie narodu pulsowały zawsze dwie główne, zasadniczo przeciwstawne tendencje. Postęp i wsteczność, światło i ciemność, pragnienie sprawiedliwości i żądza posiadania, pozostawały w nieustannej, otwartej lub ukrytej lecz wciąż jednakowo nieublaganej walce. W momentach „krótkich śpięć” historycznych, w momentach rewolucyjnej przemiany ilości w jakość, przeciwstawa te ukazywały się bez żadnego uzłobsonek, jasne i groźne, najpoziżej żłobiąc oblicze rzeczywistości.

Ostatnie półtorawieczne dziejów Polski ma swą specjalną w tym względzie wymowę. I nie trzeba

nawet głębszej, socjologicznej analizy, aby prawdzie tej dać świadectwo. Wystarczy wspomnieć postaci — ilustracje, fakty — przykłady. Wystarczy wyrzec się resztek utopizmu w spojrzeniu na przeszłość, nie zacierać pewnych „jaskrawości”, chcieć widzieć, że właśnie z walki przeciwieństw rozdziła się treść nowa i doskonalsza.

Ostatnie kilkanaście lat osiemnastego wieku. Zmierzch stulecia, ale narodziny nowej epoki. Nietylko w Polsce przecież!

Jakaż galeria postaci! I ileż analogii z naszymi „czasami pogardy”!

Oto Hugo Kollątaj, najwybitniejszy zapewne przedstawiciel owego „fin de siècle”. „Twórca przesławnej „Kuźnicy”, członek Komisji Edukacji Narodowej, reformator konajacej na schyłku życia urzędów Akademii Krakowskiej, pogromca jezuitów. Niósł do Polski „lucem ex occidente”, propagował ideologię wieku oświecenia, ideologię Wielkiej Rewolucji. Ale równocześnie wyprzedzał Europę. Ustawy Komisji z r. 1785, wypracowane głównie jego piórem, zawierały zasady, które Francja naprzykład wprowadziła u siebie dopiero dwadzieścia pięć lat później. Za to wszystko ściga go po dziś dzień nienawiść rodzimej reakcji, widzącej w Kollątaj zawsze „demonicznego wodza rewolucji”. Nie tak to dawno czytaliśmy w jednym z „poważnych” pismo pedagogów skrajnej prawicy paszkwił, usiłujący zepchnąć pamięć o genialnym polityku i pisarzu w błoto hańby...

Oto Jakób Jasiński, „młodzian piękny i posępny”. Po maciejowskiej klęsce — kandydat radykalnej demokracji polskiej na stanowisko naczelnika insurekcji. Autor szczerze jakobińskiego „Wiersza w czasie żałoby po Ludwiku XVI”. (Tysiąc dukatów wyznaczył Stanisław August za odnalezienie autora tego anonimowego utworu, który osmielał się pochylać wyrok ludu, skazujący na śmierć króla — zdrajcę. (Bohater zaginionej tragedii Mickiewicza pod znamiennym tytułem: Jakób Jasiński czyli Dwie Polski”). Nieustraszone w swym radykalizmie, widzący jasno więź, łączącą walkę o niepodległość narodową z walką o wyzwolenie ludu. „Rycerz bez trwogi ni skazy”, pieczętujący niezłomność swych przekonań śmiercią żołnierską w trzydziestym piątym roku życia. Po dziś dzień mniej lub więcej dyskretnie przemilczany przez oficjalną historiografię...

O ileż więcej możnaby wskazać przykładów tak niepowszedniej miary! Iluż znakomitych Europejczyków, tworczyków wówczas naszej historii czeka na swe monografię!

Zwyciężyła — ta druga Polska.

\*) Słowa p. Leona Pomirowskiego.

Polska Targowicy, zdrady narodowej, wojującego klerikalizmu, wsteczności społecznej. Zwyciężyła nie tylko dzięki wyzyskaniu militarnej przemocy najeźdźców. Zwyciężyła, używszy dla celów swej propagandy, m. in. tak zwanej „kwestii dyssydenckiej”. Dziś znają to zagadnienie jedynie historycy. Naówczas pochłaniało ono umysły ciemnej braci szlacheckiej. Rozpalono nienawiść wyznaniową podobnie, jak dziś się ją rozpala. Szlachcic — dyssydent nie mógł zasiąść nawet w karczmie na jednej ławie ze szlachcicem — katolikiem. Ogłupianie mas i zahamowanie postępów oświaty leżało w interesie Targowicy. Cóż dziwnego, że, dorwawszy się do władzy, zlikwidowała ona np. dwa najświetniejsze czasopisma polskie owych czasów: „Pamiętnik polityczny i historyczny” (Świątkowskiego) oraz „Gazetę Narodową i Obcą” (Niemcewicz)!\*\*)

Przenieśmy się w czasy o kilkadziesiąt lat później. Czyż podobnego — w najgłębszej swej osnowie — obrazu nie dostarczy nam epoka powstania listopadowego? Czyż już w pierwszych jego dniach nie musiał Mochnacki wołać, że „Chłopi zdradza rewolucję”? Czy i wówczas (gdy „partacz w tęczę Franków Orzeł biały lot swój w niebo wzbili”\*\*\*) nie zarysowała się odrazu najbardziej zasadnicza linia podziału? Ta, którą tak wstrząsająco odmalował poeta Ehrenberg w znanej pieśni: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem...”? Czyż nie śpiewamy jeszcze dziś:

„Wszak waszym był synem ów nieczny kunktator,  
Co wzbudzał przed wrogiem obawę,  
I wódz ten naczelnny, pobożny dyktator,  
I zdrajca, co sprzedał Warszawę!”

Śpiewamy, bo wiemy, że nie chodzi tu tylko o postacie Chłopickiego, Radziwiłła, Krukowickiego. Śpiewamy, bo jesteśmy świadomi, jaką pozycję w dzisiejszej rzeczywistości polskiej zajmuje warstwa ludzi, sytuowanych społecznie i predysponowanych psychicznie nie inaczej, niż tamci, wyklęci przez poetę.

Pokolenie, które, walcząc o nie-

\*) Zwłaszcza pierwsze z nich stanowi kapitalne źródło poznania „wewnętrznych dziejów Polski za panowania Stanisława Augusta”. Posługiwał się też nim Korzon w swym głośnym dziele pod tym tytułem.

\*\*) Ciekawe i pouczające są najnowsze dzieje sławnego utworu Kazimierza Delavigne. Podczas gdy w Polsce cenzorzy faszysty eskamotowali melodię „Warszawianki” dla swego hymnu, we Francji „La Varsoivienne” odzyskała znowu jako jedną z bojowych pieśni Frontu Ludowego, śpiewana na uroczystościach i meetingach.

podległość narodową, bronili i jednocześnie europejskich osiągnięć rewolucyjnych 1830 roku, które gotowe było położyć tamę ze swych ciał, „by krok spuścić obywatelom, co chciał światu pęta nieść” — pokolenie to nosiło w sercach i mózgach całkiem konkretny obraz przyszej Polski. Karol Szymon Konarski, najwybitniejszy z popowstaniowych emigracyjnych, największy w naszej historii mistrz walki konspiracyjnej, oświadczał wyraźnie: „Za Polskę z królem, choćby Polakiem, za Polskę, napełnioną przywilejami, nie poświęcę jednej kropli krwi”. „Cóż dziwnego, że w momencie gdy ten niezłomny żołnierz i przemieniony agitator został pojmany przez carskich siepaczy, organ hotelu Lambert, organ polskiej arystrykacji, nazwał go „namiętym szpiegiem”?

Rewolucyjnemu pokoleniu 1831 roku nie udało się wywalczyć niepodległości Polski. Ale udało się w sposób wspaniały, rzadko wręcz w historii narodów świata spotykany, zrealizować hasło: „Za naszą i waszą wolność”. Nie tylko przez przybicie bagnetem interwencjonistycznych planów Mikolaja I. który sołdackimi butami chciał gasić lipcową pożogę we Francji i Belgii. Bo i udział najaktywniejszych politycznie emigrantów w „Młodej Polsce” Mazowieckiego, i gremialne uczestnictwo w międzynarodowej epopei 1848 roku — stanowią prawo do chwasty tego pokolenia...

„Linia podziału”?

Ależ tak. Oddawna biegnie ona ostrym cięciem poprzez historię narodu!

Oto znowu moment nieklamane-go przełomu: rok 1905.

Józef Piłsudski rzuca słowa pogardy polskiej reakcji i ugody. Przewodni akcji bojowej, która jego przeciwnicy nie zawahają się obrzucić najnikczemniejszymi obelgami.

Stanisław Brzozowski nielitościwie drwi z tromtadracji „narodowców”, którzy pod płaszczykiem szowinistycznego frazesu przemycają reakcyjną treść i ideologiczną pustkę.

Bolesław Prus nazywa tych „narodowców” poprostu „polskimi hakatystami”. Wzamian za co otrzymuje od nich przydomki: „wroga narodu” i „wroga ojczyzny”.

Mnożyć wciąż jeszcze te przykłady o mniejszym i większym ciężarze gatunkowym? Przypominać ludzi, fakty i słowa?

Czyż nie wystarczają aż nadto już przytoczone, aby stwierdzić nieubłaganą rozbieżność pryncypialnych tendencji historycznych?

Zdecydowaną przeciwstawność obozu postępu i obozu reakcji?

Tak jest: nie lękajmy się używać nazbyt często tych „zbanalizowanych” pojęć: postęp i reakcja. Najogólniej, ale bezblednie, odtwarzają nam one rzeczywistość dziejową. Tę rzeczywistość, która szczególnie jaskrawo przejawia się w momencie przemiany („przemiany ilości w jakość”), w momencie zgonu starego i narodzin nowego społeczeństwa.

To znaczy w takim momencie, w jakim obecnie żyjemy.

I jeszcze jedno

Każda epoka ma swój odrębny sprawdzian linii podziału. Sprawdzian, lub raczej: sprawdziany. Wydarzenia społeczne i polityczne, wstrząsające światem, dzielą narody zawsze na dwa główne obozy. (Czasem, gdzieś pomiędzy tymi obozami usiłują lawirować nieliczne stosunkowo grupy ludzi, którzy nie chcą pogodzić się ani z jednym, ani z drugim obozem. Ale i oni są w końcu zmuszeni do wyboru).

Kto miałby w tym względzie jakiegokolwiek wątpliwości, ten mógłby się ich wyzbyc, obserwując choćby reakcję prasy polskiej na ostatnie ewenementy światowe. Nie tylko wojna domowa w Hiszpanii, ale i taka sprawa, jak dojsię do władzy niesławnej pamięci rządu Gogi — podzieliły publicystów (polskich, europejskich, amerykańskich...) na dwa odłamy: faszystowski i antyfaszystowski. Każdy z nich postawił przed sobą dylemat: albo—albo. I każdy wybrał.

Świadomie czy nieświadomie, ożwanie czy skrycie, chcąc czy nie chcąc — wybieramy wszyscy.

Sąd Okręgowy w Krakowie Wydział IV Karny Dnia 26/2 1938 sygn IV Pr 76/38

Sąd Okręgowy, wydział IV Karny w Krakowie na posiedzeniu niejawnym w dniu dzisiejszym po wysłuchaniu wniosku Prokuratora Sądu Okręgowego w Krakowie wydał następujące postanowienie 1) Zatwierdza się po myśli §§ 489 493 austr. proc. karn. zarządzoną i wykonaną przez Starostwo Grodzkie w Krakowie dnia 20 lutego 1938 konfiskacie czasopismo łp. „Albo-Albo” Nr 4 z daty 20/2 — 1938 z powodu treści: 1) artykułu zamieszczonego na stronie 1 p. t. „Jesteśmy jednej krwi” w ustępie od słów „stał się” do słów „ludzkich i obywatelskich” zawierającego znamiona występku z art. 154 kk. 2) artykułu zamieszczonego na stronie 3 p. t. W „przedmnie Sejmu chłopskiego” w ustępie od słów „czas ano” do słów „obozu demokratycznego” zawierającego znamiona występku z art. 154 kk. 3) artykułu zamieszczonego na stronie 5 p. t. „Nie kijem go to pałką” albo żyd albo mason w całości zawierającego znamiona przestępstwa z art. 172 i 173 kk. 1) Zakazuje się dalszego rozszerzania skonfiskowanej treści powyższych artykułów, a zakaz ten ma być ogłoszony w przepisanej formie w najbliższym numerze czasopisma „Albo-Albo” i w Dzienniku Urzędowym. 2) Cały nakład skonfiskowanego druku ma być zniszczony.

Za zgodność sekretarz podpisał nieczytelny

## Reminiscencje historyczne

MIECZYSLAW LEWIŃSKI

## PREKURSORY FASZYZMU

Mimo całej swoistości faszyzmu, jako politycznego „ostatniego słowa” klas posiadających współczesnego imperialistycznego kapitalizmu ma on swoje hist. podstawy. Faszyzm bowiem jako jeden z ostatecznych środków panowania wielkiego kapitału, jest przejawem klasowej dyktatury co ma swe precedensy przede wszystkim w całej historii 19 wieku — wieku narodzin nowoczesnej demokracji politycznej. Ta ostatnia nie spadła przecież ludzkości z nieba jako gotowa manna polityczna: przychodziła na świat w długich i ciężkich bólach potężnych zmaganiach klasowych. Szala zwycięstw w walce demokracji z feudo-kapitalizmem chwiała się cyklicznie i chwije nadal raz w tę, raz w drugą stronę.

Już historia Wielkiej Rewolucji Francuskiej obfituje w dramatyczne momenty. W latach około 1815 r. rewolucja demokratyczna została zahamowana a reakcja w całej Europie podniosła głowę. Twierdze zapelnily się więziami politycznymi.

Parlamente o ile istniały składały się tylko z wielkich właścicieli. Taki właśnie parlament konserwatywnej „elity” w Anglii, uchwalili w 1819 r. po krwawo stłumionych demonstracjach demokratycznych, wyjątkowe prawa „mające zamknąć usta”. Zamknięto pisma demokratyczne — zabroniono badania przyczyn niezadowolenia z ustroju państwowego i kościelnego. Działła międzynarodowa dyktatura ładu i porządku — Święte Przymierze. Z jej to ramienia przeprowadził Metternich zbrojną interwencję przeciw republiki we Włoszech i Hiszpanii, topiąc, niestety dzisiejsi dyktatorzy, w potokach krwi demokratyczne porywy narodu hiszpańskiego w spółce z jego możnymi zdrajcami. Święte Przymierze — całkiem tak jak dzisiejsza faszystowska międzynarodówka swoje „antykomunistyczne pakt” reklamowało hasła krucjaty przeciw „demokratyczno-jałkowskiej zaradzie”. Oficjalną naukę i sztukę oczyszczono również starannie z tej „demokratyczno-materialistycznej” zarazy.

Pogrzebiono naukę na rzecz wiary (Haller). Zrealizowano średniowieczny mistycyzm (Chateaubriand). Parlament Francuski za Karola X w r. 1824 wydał prawo śmierci za bluźnierstwo. Opluwało systematycznie „wywrotowe” hasła równości i sprawiedliwości społecznej. Usłużni pismacy i uczeni wielbili siłę dyktatury Świętego Przymierza. Hegel był oficjalnym filozofem pruskiego absolutyzmu.

Ekonomiczny rozwój społeczny parł jednak silnie i systematycznie do nowych form politycznych. Demokracja zyskała z rozbiciem przez myśl silnego sprzymierzenia w klasie robotniczej. Pojawił się scjalizm utopijny. Rewolucja 1830 próbuje znowu usunąć we Francji upiory feudalizmu. Ruch demokratyczny dociera do wszystkich zakątków Europy (powstanie listopadowe w Polsce). Niemniej jednak wszędzie tam, gdzie pojawił się nowy bojownik o demokrację klasa robotnicza, wielka burżuazja, która walczyła o republiki mieszczańską t. j. o prawa dla siebie — w decydujących momentach, gdzie można było kusić się o zdobycie pełnej demokracji politycznej, wycofywała się na pozycję przeciwnika. Łącząc się z niedawnym wrogiem, z arystokracją ziemiańską, występowała przed nową klasą i pełną demokracją domagającą się powszechnego prawa wyborczego. Tu właśnie były momenty najostrzejszej reakcji; wtedy rodziły się najkrwawsze dyktatury, przynajmniej dzisiejszy „skonsoli-

dowany” faszyzm i wtedy też w podziemiach konspiracji hartował się ruch robotniczo-demokratyczny. Taką była n. p. monarchia Francuska 1835 r. W „parlamentach” zgodnie radzili wielcy przemysłowcy i arystokraci nad zwalczaniem „wywrotowych” idei demokracji wśród robotników i gminu wiejskiego. W krwi skapano paryską spokojną demonstrację demokratów na pogrzebie Lamarca czy też strajki robotników w Lungdunie. W kilka dni aresztowano 2.000 ludzi. Ogłoszono „wyjątkowe prawa wrześniowe” za broniono koalicji, zamykano dzienniki. Pomagała policji w tropieniu „wywrotowców” — Ochotnicza

Gwardia Narodowa złożona tak jak dzisiejsze bojówki faszystowskie z mętów i młodzieży klas posiadających.

Gdy wraz z „Manifestem Komunistycznym” Marxa w 1848 r. pojawił się socjalizm naukowy, który podjął i rozwinął sztandary demokracji, nastąpiła nowa era konsolidacji całej reakcji. Likwidowano pospiesznie resztki prawa wyborczego. W samym roku 1848 zesłano 25.000 więźniów politycznych do Caienny. Brutalnie, na sposób dzisiejszego faszyzmu, rozprowadzono się z demokracją. Współczesny „Franco” austriacki Windischgrätz zbombardował po wandalisku republikańską Pragę. Przy

pomocy żandarmerii Europy, Rosji carskiej, stłumiono demokrację na Węgrzech, skazując setki ludzi na szubienicę.

Zakwitnął klerykalizm. Thiers we Francji zwykł był mawiać: przed rewolucją uratuje Francję tylko katechizm. W prawie wyborczym stosowano powszechnie prosty i nieskomplikowany elitaryzm: cenzus majątkowy.

Głoszone przez „czartystów” w Anglii hasła powszechnego prawa wyborczego, określały ustawy iako nielegalne wywrotowe i demagogiczne. Do walki z wspomnianymi „czartystami” organizowano podobnie jak we Francji ochotnicze szturmówki jako pomocniczą

policję. Ochotników kształcili na uniwersytetach klerykalni profesrowie.

Prawo z 1850 r. pozwalało we Francji na wniosek księdza usunąć nauczyciela bez podania przyczyn. Demokracja francuska żyła jednak. Sztandar jej przechodził w klasycznym kraju rewolucji z martwych rąk ofiar padłych w walce do następców. Narastała na nim coraz ciemniejsza purpura przelanej krwi.

Poprzez tragiczne lata 1870—1875, poprzez hekatombę ofiar komuny paryskiej, kiedy to w jednym dniu zwycięska „rewolucja narodowa” rozstrzelała kilka tysięcy robotników a 7 tys. przeszło zesłała do Caienny — szła demokracja Francji do swego dzisiejszego stanu, by dziś raz jeszcze przed swym ostatecznym zwycięstwem i rozkwitem, stanąć do walki z odwiecznym wrogiem z pod znaku Thiersów i Napoleonów — z rozwścieconą reakcją, w nowoczesną szatę faszyzmu przybraną.

Nie brak podobnych analogii i w historii krajów klasycznego faszyzmu: Włoch i Niemiec. Tak na przykład znane prowokacyjne spalanie gmachu Reichstagu przez hitlerowców, ma swój historyczny precedens w rzekomych zamachach socjalistów niemieckich na cesarza w 1878 r., sfingowanych przez Bismarcka, celem upozorowania konieczności rozwiązania partii socjalistycznej i wydania przeciw niej „praw wyjątkowych”. Wtedy to odrazu zamknięto 1500 działaczy politycznych a drugie tyle zesłano.

We Włoszech ok. roku 1820 w państwie kościelnym Grzegorza XVI i króla korsykańskiego reakcja szalała nie gorzej niż w dobie Mussoliniego. Demokratów tropiono jak bandytów, przywrócono karę cielesną, zniesiono nakaz oświetlania ulic i szczepienia ospy iako wymysły bezbożnej rewolucyjnej Francji. Z tych samych powodów zburzono ogród botaniczny. Czyż nie jest to godnym wypędzania postępowych profesorów lub palenia ich książek przez dzisiejszych spadkobierców tamtych czasów — faszystów?

O naszych własnych analogiach historycznych nie trzeba nawet mówić. Rodowód ideologiczny polskiego faszyzmu sięgający haniebnego Targowicy — jest nazbyt dobrze znany.

Tych parę, pobieżnie tu rzuconych reminiscencji historycznych, powinno nam uprzytomnić kilka ważnych momentów jak z jednej strony postęp każdy jest ogólnoludzki, międzynarodowy a tym więcej jest taką idea demokracji, — tak reakcja społeczno-polityczna jest z natury rzeczy, mimo wszelkich frazesów nacjonalistycznych również międzynarodowych. Podobnie jak w przeszłości reakcja antydemokratyczna tak i dzisiejszy faszyzm stanowi towarzystwo wazjednej, międzynarodowej asekuracji wzajemnych przywilejów klasowych. Podobnie jak w przeszłości Metternich, Thiers, Napoleon III, Windischgrätz lub Bismarck czy car rosyjski pomagali zbrojną interwencją tam, gdzie własne siły miejscowych targowiczów nie mogły sobie poradzić z swym przeciwnikiem w walce klasowej. — Tak czynią też i dziś Mussolini, Hitler czy ich satelici. Podobnie wreszcie, jak w ciągu całego stulecia mimo chwilowych klęsk i wielkich ofiar i prześladowań demokracja nie zginęła, lecz rozwijała się, zmiatając z bohaterkich porywach wiele przeszkód, — tak i obecnie wygra walkę z faszyzmem ostatnim szansem reakcji.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

## Sprawa wciąż aktualna

W toku rozpraw budżetowych p. minister oświecenia publicznego, prof. Świętosławski stwierdził parokrotnie, że jako szef swego resortu pozostaje zasadniczo przeciwnikiem dyskryminacji rasowo-wyznaniowych w szkołach akademickich i że wydanie ogólnego zarządzenia co do wprowadzenia oddzielnych ławek dla studentów-Zydów uważa za niemożliwe. To miarodajne oświadczenie p. ministra ogromna większość społeczeństwa polskiego przyjęła z niewątpliwą satysfakcją, jako wyraz urzędowej opinii w smutnej sprawie t. zw. ghetta ławkowego.

Niestety jednak, ta opinia urzędowa, sama w sobie cenna i godna uznania, nie odpowiada sytuacji, istniejącej dziś faktycznie w przerażającej większości szkół akademickich. Albowiem, jak to wiemy wszyscy, i jak wskazała znana deklaracja kilkudziesięciu profesorów uniwersytetów w Warszawie, Poznaniu i Wilnie, zarządzenia „ławkowe” są w uczelniach wyższych szeroko i konsekwentnie stosowane, co stanowi „ciężką krzywdę dla kultury polskiej i wielkie niebezpieczeństwo dla przyszłego jej rozwoju”.

Skoro najwyższe władze oświatowe — zgodnie z oświadczeniem p. ministra — za taki stan rzeczy odpowiedzialności nie ponoszą i wydawanie ogólnych zarządzeń „ławkowych” uważają wprost za „niemożliwe”, wytwarza się uderzająca dysharmonia między zasadniczym stanowiskiem ministerstwa a praktyką codzienną podległych mu instytucji i organów. Dysharmonia ta trwa już od szeregu miesięcy i kontynuowanie jej — ze zrozumiałych względów — nie leży z pewnością w interesie państwa, nauki i społeczności akademickiej. Usunięcie groźnych w swych następstwach rozbieżności i rozdźwięków oświatowych nastąpić musi; koniecznym zaś tego warunkiem jest jasne i szczerze uświadomienie sobie przyczyn, które niepożądanym konfliktem między prawem a życiem na terenie szkół akademickich wywołały.

Nie zagłębiając się na tym miejscu w nazbyt obszerne i szczegółowe rozstrząsania etiologiczne, poprzestając jedynie na ustaleniu sił i czynników, działających w kwestii ghetta ławkowego bezpośrednio i, niestety, decydująco. Zadanie to nie jest bynajmniej trudne, skoro kronika ostatnich tygodni przyniosła szereg bardzo ważkich dokumentów, które oświetlają zagadnienie w sposób najzupełniej dostateczny. Chodzi więc prosto o zestawienie i usystematyzowanie

pewnych, skądinąd już znanych, okoliczności.

B. rektor uniwersytetu lwowskiego, prof. Kulczyński, w oświadczeniu konstatającym rezygnację z godności rektorskiej stwierdził bez ogródek, że ustąpił dlatego, ponieważ „nie chciał położyć podpisu na akcie, który z imienia nazywa się „zarządzeniem władz rektorskich”, w istocie zaś jest wymuszonym pod presją terroru wekslem, który realizować ma stronnictwo polityczne, a pokrywać — uniwersytety kosztem swego prestiżu i swych żywotnych interesów” ... Stwierdzając, dalej, że ustawodawstwo wyjątkowe, ograniczające prawa Zydów w Państwie Polskim byłoby w ramach obecnych norm konstytucyjnych — bezprawiem, prof. Kulczyński pisze: „Nie można tego wymusić ani na radzie, ani na sejmie, ponieważ... są dość silne by oprzeć się terrorowi; istnieją natomiast w państwie władze i to wysokie władze, które są wobec terroru bezsilne; są nimi rektorzy i senaty akademickie...” „Przymusowe angażowanie władz akademickich w realizowanie koncepcji politycznych pewnego stronnictwa jest szantażem, dokonany na uniwersytetach i na nauce polskiej, jest rabunkiem kapitału prestiżowego uniwersytetów i nauki na rzecz koncepcji politycznych stronnictwa” — podkreśla słusznie prof. Kulczyński i dodaje szczegółów bardzo charakterystycznych: „Zarządzenia, umożliwiające odseparowanie się od Zydów każdemu, kto z nimi obcować nie chce, nie uspokoiły stosunków i okazały się niewystarczające, brakło im bowiem posmaku i charakteru „wyjątkowego” ...

Trudno o wyraźniejsze i bardziej uczciwe sformułowanie istoty zagadnienia, trudno o bardziej śmiałe ustalenie odpowiedzialności autorów i winowajców.

A że stosunki na uniwersytecie Jana Kazimierza nie były wyjątkiem, o tym świadczy wydane w kilka dni później oświadczenie profesorów szkół akademickich we Lwowie, w którym czytamy słowa godne namysłu i zapamię-

**CZYTAJcie CODZIENNA PRASĘ DEMOKRATYCZNA ROBOTNIK NAPRZÓD DZIENNIK LUDOWY WALKA LUDU KRAK. KURIER WIECZORNY**

DO PRZYJACIÓŁ „albo-albo”

Jesteśmy piśmie niezależnym, a więc borykającym się z trudnościami finansowymi. Nie zwracaliśmy się do Was wcześniej o pomoc, lecz obecna nasza sytuacja finansowa zmusza nas do wystosowania apelu: NIECH KAŻDY Z CZYTELNIKÓW „albo-albo” ZJEDNA NAM JEDNEGO PRENUMERATORA, A BYT PISMA BĘDZIE ZAPEWNIONY, JAK RÓWNIEŻ UMOŻLIWI NAM TO ZWIĘKSZENIE OBJĘTOŚCI PISMA O DWIE STRONY. WIERZYMY, ŻE NAS NIE ZAWIEDZIECIE!

WANDA WASILEWSKA

## „Trzech przeciw miastu“

FRAGMENT Z POWIEŚCI

Posterunkowy Wilman dosłyszał wrzawę zbliżającą się ku niemu z daleka, ulicą Złotą.

W pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi. Ale potem przypomniał mu się dzisiejszy sen — i zląkł się.

Sen był zwyczajny. Kiedy go rano opowiedział żonie, wzruszyła ramionami. Ale jakież słowa są zdolne oddać grozę, jaka zawisła nad snem posterunkowego, napelnią powieże, przyduła wszystko ku ziemi, wyrastała w górę straszliwym drzewem i ryla się w głębokość ziemi cielskiem wężą. Przejmowała ziemię i wody, pod cieniem jej skrzydeł truchlało słońce i bladej barwy.

Sen był zwyczajny. Ulicami miasta szedł posterunkowy Wilman na służbę, tak, jak zawsze.

Miasto było puste. Nie było nikogo na ulicach, i nie było nikogo w oknach, i śmiertelna cisza rozłożyła się wszędzie. W ciszy tańcowało coś niepojętego. Głośno dudniły kroki posterunkowego w pustce ulic. Grzmiały echem, rozrastał się głos i posterunkowy wiedział, że słychać go chyba od Czerniakowa po Mokotów, od Marymontu po Ochotę. Starł się przyciszyć kroki. Ale nie udało mu się. Tętniły, huczały, były w bruku, zapelniały dźwiękiem puste ulice. Szedł na palcach, ostrożnie, powoli, a każdy krok walił tańcem. Olbrzym z bajki, w butach ze spiznu, którego bajka dalekiego dzieciństwa wysyłała na zagładę wsi i miast, szedł chyba tak, jak teraz posterunkowy Wilman ulicami opustoszałego miasta.

Tęsknił do widoku człowieka. Rozglądał się rozpaczliwie za jakąś ludzką twarzą, za byle kim, zwyczajnym, najzwyczajniejszym człowiekiem.

Ale nie było nikogo. Zastygły w milczeniu domy. Wszystkie okna były zamknięte i przez ślepe żręcnice szły trzęsła w posterunkowego Wilmana twarz. Zapuszczono żaluzje sklepów wyglądały jak przykryte strachem powieki. Zamknięte były bramy, i posterunkowy Wilman zrozumiał — miasto przytało się ku ziemi w straszliwym lęku, w strachu, który odbiera siły, w twardej duszącej w gardle wszelki głos.

Z rozpaczą spojrział w górę. Ale niebo nad miastem rozpinało się szarym całunem, oponą lęku. Półmrok przelewał się, dotykający i skłębiony, wypełzał z zaułków, gęstym dymem zwijał się na palcach, rozpelał się, wsiąkał w bramy, w załamania murów, przenikliwy, natrętny, dotykający. Smugi mroku owijały twarz i ręce, tamowały kroki. Lepki był mrok i patrzył w posterunkowego Wilmana tysiącem niewidzialnych mu oczu. Czuł na sobie spojrzenie, przed którym nie było schronienia, przed którym nie dało się schronić w żadnym miejscu na ziemi.

Strach podniósł włosy na głowie. Posterunkowy Wilman czuł, jak się mu jeża pod czapką, jak lodowaty dreszcz przebiega plecy. Jął biec.

Ciężko, beznadziejnie tkwiły nogi w lepkim, gęstym mroku. Trzeba je było wyciągnąć z trudem, z wysiłkiem, oblewającym czoło potem. A przecież dudniły tak, że wrzawa podnosiła się ponad dachy widmowych kamienic i bila w widmowe, mroczne niebo, wiszące nisko nad opustoszałym miastem całunem trwogi.

Biegł, choć wiedział, że go gubi hałas, jaki wzniesie. Biegł z trudem, rozpaczliwie, dobywając ostatka sił, choć wiedział, że najlepiej byłoby się przytulić we wnęce bramy, zasłonić oczy rękoma, skurczyć się, zniknąć, schować, wtulić w kamienie.

Ale biegł. Z mroku patrzyły nicustannie tysiące żręcic tego samego potwora. Wlokły się za nogami ciężkie smugi mroku, natrętne zielsko, w które się wika nieostrożny pływak na jeziorze. Ocierał się o twarz lenki mrok, zagrażał oczom, dotykając ich z bliska, bezpośrednio, bez osłony powiek.

Posterunkowy Wilman stwierdził, że już nie może biec. Zatrzymał się z trudem chwytając w płuca powietrze. Ale nie było czym oddychać — to, co wypełzało w usta, to był też lepki, gęsty, materialny mrok, kładący się upiornym ciężarem na piersi. Zgroza przejęła posterunkowego myśli, że teraz mrok jest nie tylko na zewnątrz niego, ale i w nim, że go wypełnia sobą, przenika nawskroś, że oto ocalała z mroku tylko wąska osłona ciała, z której obu stron on panuje.

Chwilę dygotało w zgęszczonej szarości echo kroków — i uciszyło się. Poste-

runkowy Wilman zrozumiał, że najgorsze nastąpi dopiero teraz. W całkowitej ciszy pulsowały wyraźnie i bezgłośnie kamienie chodnika i asfalt jezdni. Zrozumiał, że dygocą ze strachu. Drżały kamienie, potężne bloki kamienne tym samym lękiem, tą samą trwogą, która ścisnęła żelaznymi klezczkami serce samotnego człowieka, jedynego człowieka w upiornym mieście.

W szarym mroku rozrastała się cisza. Była tak potworna, że posterunkowy Wilman zapragnął znów usłyszeć echo swoich kroków, bijące w szare, przyczajone niebo. Ale nie mógł się ruszyć. Buty wrosły w chodnik ulicy Żelaznej. Wiedział napewno, że to jest ulica. Żelazna, a nie inna. Ulica Żelazna, którą chodził tyle razy i tak dobrze znał. Ale teraz była inna, odmienna, niepokojąca straszliwa.

W śmiertelną ciszę uderzył nagle huk. Rozrastał się, grzmiał, miażdżył zamarte miasto. Wystrzelał ciemną fontanną w górę, aż tam, gdzie powinno być słońce.

Z dzikim krzykiem zerwał się posterunkowy Wilman ze snu. Oszałamiały rękami znalazł koło siebie ciepłe ciało żony, która spała jak zwykle twardo i spokojnie.

Leżał i drżał i z niepojętą ulgą powtarzał sobie, że to był sen, tylko sen, tylko zły sen, a to jest własne mieszkanie i żona, i wszystko tak jak zwykle, jak zawsze, jak codziennie.

Rano, kiedy chciał opowiedzieć, rozlaź się gdzieś sen w palcach, rozplynęła jego upiorna barwa, nie zostało właściwie nic.

Ale teraz przypomniał się znowu zły sen, kiedy od ulicy Złotej zagrzmiąły strzały. Stał przed oczyma z jaskrawą wyrazistością. I posterunkowy Wilman się zląkł, choć przecież nie był tchórzem i bez drgnięcia powiek stał oko w oko z uzbrojonymi bandytami w czasie napadu rabunkowego na Powiśle, i odważnie tropił przemytników na śląskim pograniczu, gdzie z za każdego krzaka czyhała śmierć i śmierć tała się na każdej dróżce i u brodu każdej rzeczulki.

Ale teraz był jeszcze pod złym czarem snu i wyraziście przypominał sobie, że to właśnie tam, gdzie stał i oczekiwał na najstraszliwsze, była ulica Żelazna, ta sama, na której teraz stoi na jawie, i czeka patrząc w ulicę Złotą na nadejście — niewiadomo czego.

Z za rogu wypadła w pędzie dorożka. Za dorożką pędził tłum i posterunkowy zobaczył w pierwszym rzędzie granatowe mundury kolegów.

Jednym rzutem oka, jakby z lotu ptaka zobaczył wszystko. Po tamtej stronie tłum. Pędząca dorożka, a w niej ostrzeżliwujący ludzie. A po tej stronie, u całkowicie pustego zbiegu ulic Sosnowej, Twardej i Żelaznej on sam, całkowicie sam, jeden naprzeciw nadiągającej błyskawicznie burzy.

Gdybyż można rzucić się w ulicę Twardą, w jedyne wolne, otwarte miejsce, w jedyną furtkę potrzasku, w jedyną otwór saka! Ale nie było można. Nosilo się przecież granatowy mundur od tego właśnie stało się tutaj, na zbiegu ulic Złotej, Twardej i Żelaznej stało się nieraz, swoich dwanaście godzin, i wracało do domu na kolację. Ale przecież nie tamto było ważne — tamte wszystkie dni, nudne i monotonne, kiedy nie działało się nic, były tylko wyzuczeniem na ten lipcowy dzień. Poło stało się dziesięć, dwadzieścia i sto razy na zbiegu ulic Złotej, Twardej i Żelaznej, żeby być tam dziś, żeby stać naprzeciw pędzącej dorożki.

Żebyż można uskokoczyć w bok, wtulić się w mur, przeczekać, aż tamci miną i wmieszać się w biegnącą gromadę! Razem z kolegami biec, i czuć ich wszystkich przy sobie, i wiedzieć, że ściga się razem i uderza razem i chwyta razem!

Ale widać musiało już tak być, że tamci mogą biec gromadą, a on musi stanąć sam, sam jeden.

Coraz bliżej była dorożka. Wielkie płaty piany spadały z pyska konia, i białe płaty piany zsuwały się z jego boku. Rozpaczliwie wyrzucał koń łeb w górę, i rozwiewała mu się na boki długa grzywa i spadała na oczy, kiedy gwałt przed siebie, nie jak dorożkarska chabeta, ale jak oszalały wyścigowy koń.

Strzały padały w tył, sypały się gęsto jak groch. Posterunkowy Wilman wiedział, że go jeszcze nie dostrzegli. Ani ten na kozle, co jedną ręką trzymał lejce, a drugą rewolwer, ani ten, leżący tyłem

do posterunkowego Wilmana na budzie i walący nieustannie za siebie, w goniący tłum. Jeszcze go nie widzieli. Ważyły się sekundy. Jeszcze jeden metr i dwa, jeszcze jeden krok końskich nóg i drugi, kiedy posterunkowy Wilman stoi nieruchomo, i nie wie o nim nikt.

Strasliwie blisko pada na bruk piany z końskiego pyska. Strasliwie blisko jest już koń — słychać chrapliwy jego oddech i widać krwawe oczy, i czuć niemal pot z mordowego zwierzęcia. Już dostrzega wyraźnie posterunkowy Wilman szczipłą twarz człowieka na kozle, już rozróżnia krople potu na jego szarej od kurzu twarzy. I widzi ludzi, pędzących za dorożką. Migają mu znajome twarze, kolegów z tego samego komisariatu.

Teraz już czas najwyższy. Posterunkowy Wilman jednym skokiem rzuca się na jezdnię. Między chwyceniem konia za uzdę a dobiegnięciem tamtych wszystkich powinien być tylko jeden moment. Przecież deptać niemal po piętach, przecież ocierając się prawie o kola pojazdu.

Ręka podnosi się błyskawicznym ruchem. Ale nie zdoła już palce objąć rzemieni. Z bliska, o krok pali tamten z kozła prosto w posterunkowego Wilmana.

Posterunkowy błędnie. I teraz czas przestaje istnieć. Płynie wolno, jak pętany lepkiem mrokiem, który spływa na ulicę Żelazną, szarymi welonami wlecie się po bruku, oplata nogi, wdiera w płuca, zakrywa sobą palące słońce dnia.

Oto jest młodzieńcza twarz na kozle i wycelowana lufa rewolweru. Oto długo, długo wysoko nad posterunkowym Wilmanem zwisają końskie kopyta i charakterystyczny oddech utrudzonego zwierzęcia. Słychać kłapanie cyngla i od tego cichego odgłosu aż do huku strzału upływa wiek. Rozkłada się każdy ruch i każdy dźwięk na drobne cząstki, i wszystko staje się nierealne nieprawdziwe, prawdziwy jest tylko mrok, jaki spada na ulicę Żelazną, lepki i gęsty.

Posterunkowy Wilman pada w bok — i czuje z ulgą, że nie wali się pod końskie kopyta, tylko właśnie w bok. Widzi i słyszy, jakby cudzymi oczyma i cudzymi uszami, że go mija w pędzie lorożka i przebiegają koło niego nogi w długich butach i nogi w płóciennych pantoflach, i nogi w trzewikach, że grzmiały strzały gdzieś dalej, dalej, w ulicy Żelaznej. I czuje dziwną ulgę, jak wtedy, kiedy się zbudził w nocy i powiedział sobie, że to wszystko to przecież tylko sen. Czuje ulgę — że to tylko tyle. Że nie przyszła upiorna trwoga i to najgorsze, co się tailo w mroku, straszliwe i niepojęte. Że to tylko bruk pod plecami i pod głową i ten ból, wcale znowu nie tak dokuczliwy.

Posterunkowy Wilman leżał i patrzył w niebo. Był całkowicie przytomny — a przecież niebo nie było błękitne, jak przedtem, ale szare. Zastanawiał się nad tym ze zdziwieniem, i starał się jakoś nie ciężyć zbytnio ludziom, którzy go nieśli, ująwszy pod pachy i za nogi. Bał się trochę, że go urażą, bo czuł, że przystający ból tylko czeka, żeby się ocknąć i rzucić na niego z wyciągniętymi pazurami. Ale nawet toby nie było nic — po sto razy powtarzał sobie posterunkowy Wilman radośnie, że to tylko tyle, i nic więcej.

Szary mrok, wlekący się za idącymi a spadający zdartymi szmatami na twarz nie był wcale straszny. Opadł z niego nocny czar, urok widmowy i był teraz tylko zwyczajnym mrokiem, dziwnym, to prawda, ale pozbawionym upiornej siły. Nie patrzyły z niego tysiączne, niewidzialne oczy niewidzialnej bestii.

Posterunkowy Wilman czuł, jak go niosą, i widział wszystkie twarze. Były mu jednak w jakiś szczególnie sposób obojętne. Jakby między nim a światem znajdowała się gruba szyba. Patrzył przez szkło, i tylko mrok przeszkadzał mu trochę, ale przecież widział wszystko. Na upartego mógłby nawet mówić, tylko opanowało go lenistwo — nie chciało się poprostu otwierać ust. Nie chciało się wykonać najdrobniejszego gestu. Niech się trudzą i krzątają ludzie w białych fartuchach. Od tego są, tak, jak on, posterunkowy Wilman był od tego, żeby stać na zbiegu ulic Złotej, Twardej i Żelaznej.

Nie przymykał oczu. Patrzył, jak się snują w szarej mazi mroku, jak coś mó-

wią między sobą jak się spieszą, jak zabiegają, koło niego, posterunkowego Wilmana. Nawet nie był z tego zadowolony — wszystko było obojętne, dalekie, za grubą, szklaną szybą.

Trzasnęły gdzieś głośno drzwi. W przejściu, między białymi łózkami szła żona. Poznał ją z daleka, natychmiast. Z dziwną wyrazistością posłyszał szelest sukni i stukanie obcasów. Oczywiście były to nowe pantofelki, niedawno kupione. Zrobiło mu się przez chwilę miło, że przychodzi. Ale nim radość zdołała się przebudzić i rozwinąć, przysięła ją obojętność, zmroziła szklana szyba. Wszystko było przytłumione, niepełne, nie dochodziło do właściwego wyrazu, nie nabierało właściwej barwy.

Przyszła. Z niechęcią pomyślało mu się, że napewno będzie płakać. Nie pomylił się. Przyklepała przy łóżku. Tuż koło twarzy miał jej zaplakane oczy i rozwichrzone włosy. Chciał coś powiedzieć — ale się rozmyslił. Pieczęć milczenia leżała na ustach i trzeba było wysiłku, żeby ją rozerwać. A na wysiłek nie chciało mu się zdobyć. Niech myślą, niech mówią za niego ludzie w białych fartuchach, jemu się nie chce, tak właśnie, nie chce. Pomyślał przez chwilę, żeby wyciągnąć rękę, leżącą na białym prześcieradle i pogłaskać po włosach płaczącą kobietę. Ale i tego nie chciało się. Poczuł, że właściwie jest mu obca, daleka, i zgubiło się gdzieś to ciepło znanego ciała, które w nocy pierwsze dało mu pewność, że zły sen był tylko snem. Leżał i patrzył na sufit. Sufit był biały, ale i tu widocznie przez otwarte drzwi dostał się, wniknął mrok. Snuł się leniwo wysoko, pod samym tyńkiem, jak rozwleczona po ławkach mgła. Przemijał się podartymi we-

lonami, wyciągał, zwijał, wsiąkał w ściany. I nie było w nim nic straszego — powinno być właśnie tak, żeby był ten mrok. Jakoś dziwnie czuł posterunkowy Wilman, że bez tego uroku byłoby coś nie w porządku. Tu właśnie, w szpitalnej sali był na miejscu.

Poczuł na ręce wilgoć. Płakała, oczywiście płakała. Zresztą zawsze skłonna była do płaczu i dziwnie łatwo lzy płynęły jej spod powiek, bez żadnego wysiłku. Byle co — i lzy. Ciureczkiem leciały po policzkach.

Teraz właściwie nie było o co płakać. Dlaczego płacze? Zapytał posterunkowy Wilman mroku, snującego się pod sufitem. Uważnie śledził fantastyczne zwieszony dymem krążące wysoko, układające się w dziwaczne desenie. Ale mrok nie wyjaśniał sprawy i milczące pytanie posterunkowego Wilmana wsiąknęło w niego bez reszty, pograżyło się w miękkiej szarym puch.

Lzy były ciepłe i padały rzadkimi, dużymi kroplami. Padały za szklaną szybą. Ale potem kobieta zaczęła łkać, i szpitalne łóżko poddało się drganiom jej ciała. Leżący wyczuwał każde takie drgnienie i sprawiło mu fizyczną przykrość. Usiłował zmarszczyć brwi, żeby okazać, że nie jest zadowolony. Ale nim pragnienie zaalarmowało wolę, porzucił posterunkowy Wilman swoje pragnienie, jak niepotrzebny sprzęt, który już przestał bawić i nie nadaje się do użytku. Tymbarziej, że teraz przeszedł człowiek w białym chałacie i przez gęstniejący, a jednak przejrzyśły mrok wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu kobiety. Powiedział coś, czego posterunkowy nie usłyszał, ale kobieta odsunęła się lekko i łóżko przestało drgać.

EUGENIUSZ MROCZEK

## Po Kongresie Ludowców

Kongres godności chłopskiej, Kongres twardej niustępliwości?

Tak niewątpliwie nazwać by można i należało ostatni kongres Stronnictwa Ludowego.

Któż nie pamięta frontalnego ataku całej reakcji na ruch ludowy — w drugiej połowie ubiegłego roku? Jeszcze brzmiały w uszach wściekły wrzask pismaków endeckiego i sanacyjnego autoramentu, podniesiony wówczas przeciw ludowcom

Nowosielicach. Czyż trzeba lepszego świadectwa ich niedowolności, czyż trzeba lepszego dowodzenia milionowych rzesz? że znikną, że płyną one z żądań i praktyk lub zmaleć nie mogą, dopóki nie zostaną spełnione?

Na czoło wysuwa się uchwała o stosunku Stronnictwa do robotników. Wszyscy, którzy mieli możność przysłuchiwania się obradom Kongresu, stwierdzają zgodnie potężny entuzjazm, z jakim delegaci przyjmowali przemówienia stwierdzające braterstwo robotniczo-chłopskie. Burze oklasków i serdeczne manifestacje były każdorazową reakcją na wyrazy „robotnicy“ lub „P. P. S.“, które padały z ust przemawiających czy odczytyjących listy od organizacji robotniczych.

Ale nie tylko o entuzjazm chodzi. Trzeźwy realizm polityczny chłopów wskazywał im w klasie robotniczej i pracownikach umysłowych najsilniejszego i najwierniejszego sojusznika.

To też uchwała Kongresu — powołująca się na uchwały P. P. S. — stwierdza „braterskie uczucia“ robotników i chłopów oraz konieczność współdziałania z robotnikami w dalszej akcji. Boć wspólny smutak daleki nie był i nie jest frazesem. Uchwała Kongresu wzywa do tego współdziałania również wszystkie organizacje, stojące na gruncie demokracji.

\* \* \*

Padły słowa decydujące na Kongresie Ludowców. Padły przedtem jeszcze, dobitnie i mocno w uchwałach Rady Naczelnej P. P. S., padły na zebraniach wszystkich klasowych związków zawodowych, padły na Kongresie pracowników umysłowych. Padły słowa wielkie, słowa palące swą koniecznością. Słowa o jedności czynu. Nie będzie przesada stwierdzenie, że przyszłość naszego kraju wymaga, by słowa te ciałem się stały.

Kongres z pogardą potępił działalność obozu endeckiego.

Natomiast — spójrzmy na uchwały. Ani o jotę nie odmiennie od postulatów, wyrażonych jeszcze w

JOZEF BIELSKI

## PIÓRO W SŁUŻBIE FASZYZMU

Jeśli literaturę określać będziemy tylko całokształt zjawisk z zakresu piśmiennictwa o mniej lub więcej artystycznych wartościach (nie mówiąc już zgola o kryteriach prawdy i uczciwości, ideowości i tendencyjności w stosunku do dzieła i jego autora) — trudno nam będzie nadać miano literatury twórczości Trzeciej Rzeszy; nazwalibyśmy ją już raczej za dr. T. Świątkiem „romansową publicystyką”. W Niemczech hitlerowskich, prócz kilku pisarzy, których rozkwit twórczości przypada na okres „dawnych, lepszych czasów” (Hauptmann, Hesse, Schäfer Stehr, Blunck, R. Huch, Kolbenhayer, Carossa), cała przerażająca swym ogromem reszta, to — jak sam zresztą często przyznaje z ubolewaniem „minister od literatury” Goebbels — grafomani. Ministerstwo „propagandy” rozpisuje ankietę i konkursy, ustanawia liczne nagrody państwowe, regionalne, miejskie etc., — jednakże laureatami zostają przeważnie ci „starsi” (ostatnio Wilhelm Schäfer), albo ci z grafomanów, którzy na innym polu wykazali wierność i oddanie narodowemu socjalizmowi (n. p. przewodca Hitlerjugend'u Baldur v. Schirach).

Piśmiennictwem hitlerowskim zajmuje się też w Polsce bardzo mała garstka ludzi. Będą to oprócz kilku zawodowych badaczy literatury obcej, przeważnie germaniści. Ich sądy o tej „literaturze” nie są naogół znane, po pierwsze dlatego, że oficjalnych enuncjacji jest mało, po drugie zaś, że te nieliczne, ukazują się zazwyczaj w specjalnych, fachowych periodykach. Należy jeszcze dodać, że nawet sami germaniści milczą — niechętnie zajmują się literaturą, która w rezultacie nie wnosi żadnych, nawet formalnych wartości do studiów germanistycznych.

Ostatnio ukazało się sprawozdanie z hitlerowskiej książki w „Neofilologu” (kwartalniku Polskiego Towarzystwa Neograficznego). Recenzja ta posłuży nam jako typowy przykład nie tylko tej nieuczciwie tendencyjnej, zakłamanej „literatury”, ale rzuci sporo światła na t. zw. „obiektywne naukowe” krytyków, w rzeczy samej ludzi, którzy w „konsekwencji” duchowego pokrewieństwa z wszelką totalizującą ideologią, pragnęłyby tę „literaturę” w cudzysłowach podnieść do wyżyn literatury. Sprawozdanie to obejmuje „epopeję o wojnie światowej” („Sperrfeuer um Deutschland” — sprawozdawca nie podaje tytułu i miejsca wydania) narodowo „socialistycznego” pisarza Wernera Beumelburga, dysponenta pruskiej akademii.

Zaraz na wstępie czytamy, że dzieło to wyrosło na gruncie obecnej, wojennej atmosfery III Rzeszy, jednakże „sławę(?) każdej takiej książki przypisywać należy nie tylko aktualności tematu”. Dlaczego? Bo n. p. z książki Beumelburga „ostaną się jej artystyczne wartości, chociaż wojna światowa błędnie coraz bardziej w pamięci następnych roczników”. By dać pojęcie o tych „artystycznych” wartościach, zacytujemy kilka tych wierszy, które przytoczone również w sprawozdaniu, mają zadokumentować urok i wysoka klasę stylu Beumelburga: „Paść? Umrzeć? Pozostać gdzieś ciężko rannym? — A gdy mnie kula zabije, nie będę mógł powędrować do domu. — Nie ma piękniejszej śmierci na świecie, jak zostać zabitym przez wroga...” („Fallen? Sterben? Schwerverwundet irgenwo liegen bleiben? — Und schießt mich eine Kugel tot, kann ich nicht heimwärts wandern. — Kein schöner Tod ist in der Welt, als wer vom Feind erschlagen...”). Tak więc wygląda próbka stylu Beumelburga a recenzent wybrał chyba najlepszą, mającą świadczyć o artyźmie formy.

W całej książce Beumelburga,

oprócz nacionalistycznego zakłamania i obłudy, nie znajdujemy nic takiego, co mogłoby podnieść w naszych oczach poziom tego „dzieła”. Mimo to czytamy w „Neofilologu”, że nietylko piękny styl jest ozdobą tej książki, ale „przede wszystkim jednak należy uwypuklić moralne wartości epopei Beumelburga”. Posłuchajmy: „Stale podkreśla ona (epopeja, p. m.) najpiękniejsze cnoty żołnierskie, dzięki którym Niemcy zdołali przetrwać przeszło czteroletnią wojnę. Obowiązek jest tu najwyższym moralnym nakazem. Czy to będzie chodziło o potężne marsze setek kilometrów podczas ataku, odbywane całymi dniami w upale słonecznym lub mrozie zimy, czy to będzie w prawie zupełnie straszakowych kulami okopach zachodniego frontu, w małych lub wielkich lejach armatnich, często w beznaziej walce przeciwko przeważającemu wrogowi, później nawet bez nadziei zwycięstwa — żołnierz wytrzymuje, prze naprzód, broni się, przelewa krew i traci życie, ale spełnia swe zadanie”. Pomijając ten zaiste cudowny upór żołnierza, który traci życie, ale swoje zadanie spełnia — dziwić się należy mocno sprawozdawcy, zaliczającego te cechy do „moralnych wartości epopei Beumelburga”. Przecież chyba nikt w to nie uwierzy, że właśnie niemiecki żołnierz w wojnie światowej walczył z „nakazem moralnym”, z poczuciem obowiązku (wobec kogo i czego?), z entuzjazmu i żądzy walki, z bohaterstwa; każdy świadomy uczestnik tej potwornej rzezi przyzna otwarcie, że walczył, bo walczyć musiał, że nie tracił zdrowia i życia w imię jakiegoś moralnego imperatywu, jakiegoś ideału (bo jakież może być ideał wojny imperialistycznej?), ale robił to wskutek dyscypliny wojennej, wskutek panicznego strachu przed szubienicą, przed rozstrzelaniem. Tak bywało na każdym froncie, tak było i na niemieckim — i na tym jak i na innych bywały dzwercze i masowe egzekucje. Któż więc uwierzy w tę piękną bajeczkę o wyjątkowej wierności i waleczności niemieckiego żołnierza, jak wreszcie rozsądny krytyk odważyłby się takie zakłamane walory podnosić do „moralnych wartości” literatury?

„Krytyk” z „Neofilologa” jest jednak uparty, jak żołnierz Beumelburga, bo nadal popelnia gafę za gaffą. — Otóż wszystkich niedowiarków, wszystkich jeszcze wątpliwych musi wreszcie przekonać obiektywizm hitlerowca, przypięczonego takim oto argumentem: „Beumelburg stara się być obiektywny. Przyznaje on, że pierwsza bitwa nad Marną zakończyła się klęską państw centralnych, że ostatnia ofensywa nad Marną 1918, podjęta z takim wysiłkiem i wiarą przez Ludendorffa, zakończyła się fiaskiem”. Czy to nie wspaniale? Zaprawdę rzadko spotykany obiektywizm historyczny — bo, cóż wreszcie można zrobić p. Beumelburgowi, gdyby na złość stwierdził, że właśnie państwa koalicyjne poniosły klęskę nad Marną, że właśnie Ludendorff odniósł tamże wspaniałe zwycięstwo w 1918 roku! Nie obiektywizm hitlerowca, ale „obiektywna krytyka” naukowego czasopisma jest godna podziwu!

A dalej natrafiamy na najcharakterystyczniejszą, walecznie przeprowadzoną analogię. Oto ona: „Jakżeż więc inaczej ukształtował Beumelburg obraz wojny, niż n. p. Remarque. Przecież w jego straszliwej książce „Na Zachodzie bez zmian”, wojna jest łańcuchem potwornych okropności, ludzkiego zdziczenia, Remarque'a czyta się również z zapartym tchem, ale ze strasznym uciskiem odkłada się tę książkę z rąk, drząc przed widmem wojny”. A u Beumelburga? „U Beumelburga zgroza powszedniego

dnia na froncie oczyszczona jest — jak w dramacie greckim — przez moralne oczyszczenie (katharsis) poświadczenia, spełnienia obowiązku, narodowej wspólnoty. Nie ukrywa on jednak potworności wojny, jest ona w jego dziele wyjaśniona metafizycznie”. Otóż to, metafizycznie! Czyli, że w konsekwencji, cała tragedia wojny imperialistycznej u Barbusse'a, cała jej bezsensowność u Remarque'a, tragikomizm sprawiedliwości u A. Zweiga, wszy, wenera i moralny ryzostok u Dwingera — to wszystko dla faszysty i jego „naukowego sprawozdawcy” — metafizyka! Ale Beumelburgowska wojenka entuzjazmu i bohaterstwa, samopoświęcenia i wewnętrznego moralnego obowiązku — to obiektywny realizm!

W ten sposób możnaby całe to sprawozdanie, słowo za słowem przytaczać i „komentować” — ale... nie warto. Cel sprawozdawcy staje się dla nas zupełnie jasny, gdy czytamy: „Książka Beumelburga nie wywoła w polskim czytelniku takiego echa, jak u Niemca. Niemniej sędzi, że możnaby jakiś ustęp, n. p. opis ofensywy na froncie zachodnim, oddać w ręce naszej polskiej młodzieży, jako lek-

ture w podręcznikach, albo w specjalnych odbitkach; pozna swego zachodniego sąsiada w świetle przeżyć wojennych”. Należało jeszcze dodać, że czytać powinna ta młodzież z „komentarzami” dr. Paluskiewicza (tak nazywa się sprawozdawca), bo mogłaby broń Boże tłumaczyć sobie te czytanki „fałszywie”.

W książce Beumelburga roi się od bezczelnych wypadów przeciw Polsce. Sam recenzent podaje n. p. gorzkie żale Beumelburga z powodu wypędzenia przez polskich powstańców, ostatnich wojsk pruskich z Poznania, ale Beumelburg pociesza się przynajmniej tym, że „odtąd już ani piędzi ziemi niemieckiej nie pozostawi się zbójom” („hinfort wird kein Fuss breit deutschen Bodens mehr den Räubern überlassen”). Zaraz jednak znajdujemy łagodne wytłumaczenie, że przecież „Beumelburg jest Niemcem, jest dumny ze swego narodu, spogląda na inne narody ze stanowiska interesu swego narodu”. W końcu, by wreszcie w jakikolwiek sposób przyklepić etykietę „naukowości” sprawozdaniu, czytamy, że „w epopei Beumelburga jest więcej takich antynomii(?), wynikających z nacionalistycznie jednostronnego nastawienia Beumelburga”. Na wszelki wypadek otwarta furtka!

Omówione sprawozdanie mogłoby nam w pewnej mierze odzwierciedlić charakter prawdziwej faszys-

towskiej literatury i stanowisko pseudo-naukowych krytyków. Cechy są znamienne, ale wspólne. Wszelka ideologia i działalność tych, którzy poruszają się w płaszczyźnie nacionalizmu, na gruncie fałszywie pojętej idei narodowej — opiera się wyłącznie na przesłankach irracjonalizmu. Każdy „świadomy” narodowiec ma na swoje wytłumaczenie li tylko metafizyczne serce w zanadrzu. To wyjaśnia — ale bynajmniej nie usprawiedliwia — postawę faszystowskich pisarzy i niektórych naszych sprawozdawców. Odczuwanie i intuicja zamiast logicznego rozumowania i świadomości rzeczy — tendencyjne a zarazem naiwne oświetlenie zagadnień miast naukowego obiektywizmu i znawstwa — chaos i niekonsekwencja zamiast dyspozycji i logicznej przejrzystości — oto zasadnicze kryteria, wprawdzie niekiedy bardzo bojowe, ale nigdy przekonujące, ale inaczej: czasem „chwytające za serce”, ale nigdy „przemawiające do rozumu”. Po większej części, tenże uczuciowo-metafizyczny — u nacionalisty przesadnie naciągnięty — miesiąc sercowy, doprowadza przecież do podpalania stosów książek, do bestialskich orgii obozów koncentracyjnych, do rozwalania nędznych straganów, do barbaryzowania uczelni, do... My wolimy normalne, zdrowe serce, a jeszcze więcej logiczne kategorie myślenia.

MIECZYSLAW SYNAL

## W OBRONIE NIHILIZMU

Wybuch powstania styczniowego, rocznicę którego niedawno obchodziliśmy, spotkał się z gorącym uznaniem postępowych kół społeczeństwa rosyjskiego. Wszystko, co było w Rosji szlachetne i wartościowe, wszyscy ci, co miłowali wolność i walczyli o nią, nie mogli pozostać obojętni wobec bohaterstwa zmagających Polaków z caratem. Hasło „za naszą wolność i waszą” znalazło w Rosji szeroki oddźwięk i największe bodaj sympatie i nadzieje przywiązywali do powstania nihilisci i ich sympatycy, jak Czernyszewski i inni.

A więc i nihilisci. Dziwnie to na pozór wygląda. U nas, w Polsce słowo to, wślad za reakcyjną krytyką rosyjską ubiegłego stulecia, oznacza coś podłego, nikczemnego, oznacza jałową krytykę, pesymizm bez kresu, cynizm, oznacza ludzi bez kośćca ideowego. Dość powiedzieć, że niedawno spotkał się zestawienie nihilistów z Celinem — usiłowano udowodnić, że francuski pisarz nie widzący ani w rzeczywistości ani w przyszłości żadnego jasnego punktu, zbliżony jest swoją „ideologią” do nihilistów. Porównanie to jest jednak błędne i dowodzi niezwyklego pomieszenia pojęć i niewłaściwego rozumienia umysłowości rosyjskiej 60-tych lat ub. wieku. Nihilistom stanowczo należy się rehabilitacja, to też uznaliśmy za stosowane skreślić przy sposobności kilka słów wyjaśnienia.

Rozkład feudalno-biurokracyjnego ustroju Rosji carskiej był w połowie XIX wieku faktem dokonany. Pogarszające się coraz warunki na wsi pchały do miast masy ludzi, którzy stykając się z warstwami bardziej wyrobionymi społecznie, zaczęli stopniowo precyzować swój krytyczny stosunek do systemu, którego oni i ich rodziny były ofiarą. Nie można mówić o istnieniu w tym czasie proletariatu — najbardziej radykalną ideologię reprezentowały te właśnie masy wiejskich przybyszów, złączone ze studentami, lekarzami, urzędnikami, nauczycielami — krótko mówiąc ze wszystkimi ludźmi, którzy mieli prawo być niezadowolonymi. Postępowe warstwy te nazywano „razwocznymi” — różne „czyny” (rangi) wchodziły w ich skład. Ideały ich nie były określone wyraźnie do Rosji nie dotarł jeszcze nawet fran-

cuski utopijny socjalizm, to też „razwocznicy” poprzestawali na krytyce ustroju istniejącego z punktu widzenia „rozumu”, przeciwstawiano zaś przeważnie dość mgliste ideały, które dopiero później odważni bojownicy o wolność; chociaż trzeba przyznać, że wielu z nich skończyło na gadaniu i pozajmowało różne ciepłe posady.

Radykalne jak na ówczesne czasy stosunki zapatrywania różnicowników musiały wywołać reakcję ze strony nie tylko władz, ale również ludzi, w ten czy inny sposób związanych z istniejącym ustrojem. Zadania ośmieszenia „marzycieli” podjął się piewca szlachetczyzny, wybitnie reakcyjny pisarz Iwan Turgieniew. Wydając w roku 1862 powieść swą „Ojcowie i dzieci”, Turgieniew w Bazarowie ucieleśnił typ rewolucjonisty rosyjskiego, typ naturalnie karykaturalny, łącząc z nim zabójcę, zdanem pisarza przewisko nihilisty. Ograniczoność i naiwność Bazarowa jest świadectwem, jak zapatrywał się Turgieniew na rewolucjonistów, bo nihilista był w tym wypadku synonimem rewolucjonisty. „Chciałem z niego (Bazarowa), piasek Turgieniew do Słuczewskiego, uczynić postać tragiczną... Jest on uczciwy, prawdomówny i demokratyczny do szpiku kości. I jeśli nazywa się nihilistą, to trzeba czytać — rewolucjonistą”. Uczciwy i demokratyczny, ale błędny, bo zamiast pierać carat, walczy z nim. Tak zrozumiała też Bazarowa policja carska. Warto przytoczyć tu ustęp z raportu III Oddziału Kancelarii J. C. M. (późniejsza „Ochrona”): „Sprawiedliwość każe stwierdzić, że zabienny wpływ na umysły wywarł utwór znanego pisarza Iwana Turgieniewa „Ojcowie i dzieci”. Krocząc na czele współczesnych talentów rosyjskich i mając sympatję wykształconych warstw, Turgieniew utworem tym, niespodziewanie dla młodego pokolenia, niedawno oklaskującego go, napiętnował naszych żółtodziobów — rewolucjonistów złośliwym przewiskiem nihilistów i uderzył w naukę materializmu i jego przedstawicieli”.

Nic dziwnego, że powieść Turgieniewa wywołała ostre protesty ze strony tych, w których godził Bazarow, przewisko jednak „nihilistów” zostało przez nich przyjęte i było w użyciu przez całe

60-te lata. „Nihilista, pisze Turgieniew, — to człowiek, który nie chyli głowy przed żadnymi autoritetami, który żadnej zasady nie przyjmuje na wiarę, jakiby szacunek zasady tej nie otaczał”. Tak jest, nihilistów cechowało podkreślanie praw rozumu, krytyczny stosunek do wszystkich ogólnie i oficjalnie przyjętych ideałów, pęd nauk przyrodniczych, obrona praw jednostki, specjalnie zaś uciśnionych kobiet itd. Nie możemy naturalnie dzisiaj oceniać wszystkich tych czynników ujemnie, zgodzimy się raczej z dodatnim ocenami nihilizmu Pisariewa, Timiriaziowa, Czernyszewskiego i innych wybitnych Rosjan. Słusznie podkreśla Kropotkin, że „nihilizm z jego deklaracją praw jednostki i odrzuceniem obłudy był zaledwie przejściowym (i dodajmy: łoniecznym, przyp. mój) momentem w tworzeniu się nowych ludzi, ceniących wolność indywidualną nie mniej, lecz żyjących jednocześnie dla wielkiej sprawy”.

Przejściowość nihilizmu podkreśla jeszcze to, że już na początku 70-tych lat nihilisci zaczęli nazywać siebie „narodnikami” (ludowcami), stając na gruncie już bardziej określonym i wiążąc się coraz ściślej z wielkimi ideami wolnościowymi, które stworzył Zachód.

Reakcja jednak w dalszym ciągu posługiwała się terminem „nihilisci”, prześcigając się wzajemnie w oczekiwaniu ruchu wyzwoleńczego. „Obłomow” Gonczarowa jest już pozbawiony uczciwości Bazarowa, zarodek karykatury, stworzony przez Turgieniewa, rozwił się coraz bardziej, będąc dowodem strachu szlachty przed rosnącym ruchem niezadowolonych. Leskow, Pisiemski, Gonczarow, nawet Dostojewski służyli dzielnie caratowi, łącząc z nihilizmem wszystkie grzechy i wady ludzkie.

Wielką dodatnią, wyzwolenczą rolą nihilizmu nie ulega żadnej wątpliwości i nie mamy powodów, by naśladować rosyjskich wiernopoddańczych literatów i krytyków, dla których nihilisci byli solą w oku. Należy raczej w uznaniu schylić głowę przed tymi, którzy często naiwnie, lecz jakże szczerze i odważnie walczyli z kolosem caratu, którzy dążyli do wolności, chociaż nie zupełnie zdawali sobie sprawę, jaką ona ma być.

Książka, która będzie rewelacją

# BADAMY PROLETARIAT

W numerze 2 (4) naszego pisma zamieściliśmy p.t. „Robotnicy piszą”. Fragmenty materiałów publikacji, opracowanej przez prof. dr Z. Mysłakowskiego i dr F. Grossa na podstawie pamiętników robotników w oparciu o ankietę o kulturze i samokształceniu proletariatu.

Z publikacji tej, która ma się ukazać na rynku księgarskim w najbliższych dniach, zamieszczamy końcowy ustęp przedmowy autorów, oraz kilka fragmentów pamiętników.

Książkę tę omówimy obszernie w następnym numerze. Obecnie pragniemy jedynie poznać Czytelników z fragmentami dzieła, które zapewne znajdzie przez swą dokumentarną wartość również silny oddźwięk jak „Pamiętniki bezrobotnych” i „Pamiętniki chłopów”.

Redakcja.

„Pamiętniki — jak już wskazano — obrazują subiektywne sądy i przeżycia autorów.

Czy sądy te zawsze są słuszne, czy krytyka postępowania bliskich, przypisywanie winy zgodne są z rzeczywistością? Czy wreszcie, niejednokrotnie postępowanie autorów, a raczej ich bliskich (n. p. ojców) nie uchyla pewnym zasadom moralności? Zarzuty stawiane instytucjom czyż zawsze są uzasadnione? Bieda, nędza, złe traktowanie niech będą dostatecznym usprawiedliwieniem tych uchybień.

Jeden z uczestników ankiety pisze: „Szanowni — pisząc nie chciałem nikomu złośliwie dokuczyć, to prawda dyktowana przez gorzkość, żal i ból, że jesteście my tak obdarci ze wszystkiego...”

A jeżeli przecież postępowanie autorów czy osób opisywanych wedle ich wspomnień zawiesz nas może w pewnych wypadkach — pamiętajmy, że zadaniem wychowawców kasy pracującej i oświatowców jest usunięcie tych wad. To, że w pamiętnikach na światło dzienne wady te wyszły, może być uważane tylko za zaletę. W ten sposób autorzy sami mimowolnie wskazują nam problem.

Niewątpliwie — widzimy wady naszych uczestników — są oni ludźmi, mają wady oraz zalety jak każdy człowiek.

Nędza, bezrobocie nie uszlachetniają. I właśnie w świetle wad plastycznie występują wartości tego materiału ludzkiego, wartości, które pozwalają żywić najlepsze nadzieje, optymizm, wiarę w przyszłość ludzi pracy i tej ziemi.

Ile problemów wylania się przy czytaniu tych paru pamiętników, ile kwestyj poruszono, ile problemów w nich nurtuje, jak wartościowych autorów czytają ci ludzie, a o tym wszystkim piszą przecież ludzie prości, od młota, kielni, ludzie, którzy nieraz kilka zaledwie miesięcy w szkole spędzili. Pismo wielu wskazuje, że ciężką pracę było dla nich utrwalenie swych przeżyć. Jeden n. p. szewc z małej lubelskiej miejsciny, zeszyt kółkami widocznie przybił do stołu, by się nie ruszał, litery stawał wolno, móżdżek w ręcznie wyliniowanym zeszycie...

Słusznie czytelnik zauważył, że to może być materiał najlepszy, wybrany. Prawda. Ale wskazuje to na wielkie możliwości kształcenia i wychowania, na wartość materiału ludzkiego a przede wszystkim na wielkie zadania, które stoją przed nami, zadania kształcenia i wychowywania tych ogromnych mas, u dostępnienia nauki i możliwości rozwoju kulturalnego, a przede wszystkim stworzenia ludzkich warunków bytowania.

## B. J. Robotnik fabr.

Urodziłem się w 1894 roku w Naprawie wiosce leżącej tuż obok miasteczka Jordanowa, jako syn uboższego wieśniaka. Rodzice moi mieli mały skrawek ziemi, który służył im jako warsztat pracy, pracy utrudnionej i ciężkiej, z powodu pokrajanej na drobne kawałki ich ziemi.

Bardzo często w mej duszy rozbijał się jakiś niesamowity bunt, patrząc jak chory ojciec dźwigał z lasa brzemień choiny. Pot ściekał mu z czoła a tuż obok sąsiad spokojnie pasie na łące dwa rumaki. Na wszystko spoglądałem z krytycznym. Największą ciekawość budziło we mnie zobaczenie się

twarzą w twarz z tym groźnym socjalistą. W tak czarnych kolorach wymalowanym w każdym kazaniu miejscowego proboszcza zwalczającego socjalizm z całą zaciekłością. Sam miał w posiadaniu 100 morgów pola i kilkadziesiąt morgów lasu, chował 30 rasowych krów i 2 pary wołów i kilka koni. Moją najpospolitszą zabawką było wycinać kozikiem z miękkiego margielu najrozmaitsze kształty.

Miałem ogromne zamiłowanie do rzemieślnictwa. Sąsiedzi mi radzili, ażeby iść do praktyki stolarskiej, zaś w szkole nauczyciel p. Kowalik mi zalecał udać się do szkoły rzeźbiarskiej, do Zakopanego. Młodzież szykowała się na emigrację do saks. Wreszcie któregoś dnia zjawił się agent werbujący robotników na roboty fabryczne do stolicy węgierskiej Budapesztu. Porozumiałem się z kolegami, którzy mi się wystarali o książkę robotniczą na nazwisko Zygmunta Józefa a bratu Woitkowi szepnąłem po cichu na ucho, ażeby nie szukali bojadę na Węgry. Brat miał przy sobie zaoszczędzoną jedną koronę austriacką, którą dał mi na drogę. Wreszcie zniem bez śladu.

Po raz pierwszy jadąc pociągiem, całe 24 godziny stałem jak wręty na skostniałych nogach w oknie pociągu przypatrując się jak z błyskawiczną szybkością przesuwały się przednie krajobrazy jakby w jakimś olśnieniu niesamowitym urokiem panorami.

Fabryka zatrudniała około trzech tysięcy ludzi i 400 młodoletnich dzieci, które odwoziły wieża cegły do maszyn. Tuż obok fabryki znajdowała się ogromna spółdzielnia robotnicza, w której to mógł robotnik zaopatrzyć się we wszystkie konieczne środki potrzebne do codziennego utrzymania.

Tam nauczyłem się bardzo wiele. Brałem żywy udział w strajku generalnym o skrócenie czasu pracy i wyższe wynagrodzenie. Strajk trwał 5 dni i zakończył się tragicznie dla prezydenta miasta hr. Tisza. Ten zimny i nieugięty wróg klasy robotniczej przypłacił to swoją głową. Lecz strajk był solidarny i zakończył się zwycięsko, uzyskaniem w całości wszystkich żądanych postulatów. Wówczas poznałem co to jest socjalizm... W roku 1914 ukończyłem praktykę i otrzymałem świadectwo wyzwolenia na obce nazwisko Józefa Zygmunta. Jako grom z jasnego nieba rozszła się wieść po całym Buda-Peszcze, że wybuchła wojna.

W lutym 1915 zmobilizowano 700 robotników z naszej fabryki między innymi i mnie.

Nie będę opisywał wszystkich moich przeżyć w czasie mego pobytu przez 5 lat na froncie, naco potrzebowałbym stos papieru, wspomnę tylko pierwszą moją ofensywę 2 maja 1915 pod Gorlicami. Tam poznałem całą ohydę tej strasznej kanonady, która w przeciągu 2 godzin zniszczyła całe miasto Gorlice i przyległe wioski. Lasy i góry przemieniły się w perzynę, wszystko co było na powierzchni zostało zmieszane z ziemią lub poszło z dymem pożaru.

Żawdy unikałem odebrania życia swemu przeciwnikowi, o ile mi nie udało się pojąć do niewoli to najczęściej puszczęm wolno, kierując się tym co mnie matka nauczyła, piąte przykazanie nie zabijaj, a po drugie z obawy ażeby czasem nie zabić drugiego Polaka po tamtej stronie. A zresztą choćby był to nawet moskal rodowity, to zdawało mi się, że to także stolarz lub cieśla spod Kijowa, który mi wcale nic nie winien a pragnący żyć tak samo jak i ja. Stąd też można przypisać Wszechmocnemu, że pozwolił mi wyjść cało z ognia najokrutniejszej bitwy.

Powróciłem zdrów lecz już nie

ten sam ale inny. Straciłem ducha wojennego. Przekonałem się, że w tym piekle wzajemnego mordowania się ktoś ma osobisty interes.

Tymczasem ani sanitariusza, ani księdza nie było.

Tam giną żołnierze i bez niego odchodzą do Królestwa Bożego. Tam przypomnieli mi się słowa Chrystusa, który ongiś mówił, że dobry pasterz daje duszę swoją za owce swoje, ale pasterz zły rozprasza owce a wilcy okrutni pożerają je.

Odtąd sparaliżowane zostały wszystkie moje uczucia religijne. Zaczęłem się zastanawiać, czy wojna ma w ogóle jakiś sens, a raczej dla człowieka obdarzonego w tak wspaniały dar umysłu i wyposażonego w najszlachetniejsze przyrodzone mioty, poto ażeby upadł tak nisko, poniżej drapieżnego zwierzęcia i jakiejś dzikiej bestii.

Czyż nie należałoby się porozumieć ze swoimi przeciwnikami w sposób polubowny.

W listopadzie w roku 1918, w niedzielę weszło słońce na brylantowy firmament. Wierchołki szpilkowych drzew olśnione były majestatyczną pięknością przednich okolic. Usiedliśmy na szczybie Lubonia przyglądając się na ładny widok miasteczka Jordanowa, leżącego na pięknym wzgórzu. Wreszcie zauważyliśmy pędzone jesiennym wiatrem fale chorągwi o kolorze polskim. Nie mogliśmy dłużej powstrzymać ciekawości. Postanowiono zbadać sprawę na miejscu. Czym bliżej tym więcej entuzjizmu i radości z niespotkanego dotąd zjawiska, na co oczekiwano 150 lat. W mieście już wszystkie orły austriackie rozrzucone po ulicach i rynku, a ich miejsce zastąpiły orły polskie. Radość ogarnęła mą duszę, którą tu nie jestem w stanie opisać. Zginęła zmora wojny i trwogi, niewoli i knuta. Nastal czas wolności i czas budowania własnego Państwa. To też pożegnawszy się z kolegami, zarejestrowałem się do straży obywatelskiej, czyli milicji. Zorganizowałem dosyć spory oddział. Po ukończeniu się prawowitego i jednolitego rządu polskiego w Warszawie, przyszedł do gminy rozkaz zwinięcia milicji i stworzenia policji stałej. Wówczas oddałem nie tylko broń, ale wszystko co tylko miałem cennego. Nawet dwa srebrne ordery austriackie za służbę walczyli złożyłem na ołtarzu potrzeby Państwa.

Kilka tygodni później został opublikowany wielki wiec publiczny socjalistyczny, który się odbył w ujeżdżalni przy ulicy Zwierzynieckiej w Krakowie. Na wiecu tym miałem możność widzieć i słyszeć po raz pierwszy tow. Ignacego Daszyńskiego. W wiecu tym wzięło udział kilkanaście tysięcy obywateli Krakowa. Mowa tow. Daszyńskiego wywarła na mnie dziwne wrażenie i pęd do natychmiastowego zorganizowania się.

Wykorzystując godziny obiadowe na wspólną dysputę na temat organizacji, rozpoczęliśmy prace werbowania członków rozpoczynając od siebie, a w przeciągu jednego tygodnia zorganizowaliśmy całą fabrykę z tow. Urbanikiem.

W maju ukazały się na murach miasta ogromne afisze wzywające społeczeństwo do obrony kraju i granic Państwa Polskiego, za co obiecywano nam wolność i swobodę, pracę i chleb, a chłopom obiecywano ziemię na własność bez odszkodowania itd. Na dole tych afiszów widniał podpis tow. Daszyńskiego, Wincentego Witosa. Uważałem z poczucia obowiązku obywatelskiego, mimo mego starszego wieku i zgłosiłem się w P. K. U. Kraków, ażeby się zarejestrować w szeregi ochotnicze.

## Z. B. stolarz w Krakowie

Na południowy zachód od Częstochowy, pięć mil odległa od tegoż miasta leży mała wioska Zwierzyniec. Dwór w tej wiosce położony jest na równinie, otoczony z wszystkich stron z dalszą czy bliższą lasem. W okolicy tej wioski nie było kolei ani szosy, a jedyną komunikacją była komunikacja kołowa boczną drogą. Zwierzyniec jak i folwark mało miał styczności z otaczającym go światem, dlatego w rozwoju swoim pozostawał zawsze w tyle, cechując prymityw materialny i kulturalny.

W folwarku tym, który dzierżawił mój ojciec, ja się urodziłem w roku 1903. Nie byłem jedynakiem, gdyż rodzeństwo nasze składało się z siedmiorga dzieci, a ja byłem piątym z rzędu.

Rok 1914 wbił mi się silnie w pamięć, bo był to rok rzeczywicie wielki, wielki w szczególności dla mnie dziecka, ponieważ nie mając pojęcia o wojnie z bezgranicznym łękiem przypatrywałem się jej działaniom. Ojciec mój, będąc potomkiem rodziny, której członkowie brali czynny udział w powstaniach i buntach wolnościowych narodu polskiego, był o przekonaniach skrajnie patriotycznych, dlatego nas dzieci starał się wychować w swoim duchu, opowiadając nam od najmłodszych lat o dawnej świetności polskiej, o gehennie przodków w kaotorgach sybirskich i o śmiertelnych wrogach jakimi byli w jego pojęciu zaborcy. Rok więc 1914 był dla ojca rokiem nadziei, że może teraz Polska odzyska wolność. Tak wychowywani i stopniowo urabiający, widzieliśmy w rozpoczynającej wojnie (nie ja, bo byłem za młody, ale starsze rodzeństwo) coś świętego, coś wzniosłego.

Ciekawiła mnie tylko jedna rzecz: że czterej koledzy z którymi się żyłem, byli, w mniejszym stopniu ale również jak ja prześladowani przez ogół klasy. I znów to pytanie: dlaczego? Otóż przekonaliśmy się wkrótce, że powodem do tego było ich ubóstwo. Dlatego, że dwóch ich było synami chłopów, zaś pozostałych dwóch to jeden syn tercjana z naszego gimnazjum, a drugi robotnika fabrycznego. Było więc nas pięciu pariasów i każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem na odrabianiu lekcji, czy pogawędce.

Także — będąc w gimnazjum — od pierwszej klasy poświęcałem dużo czasu czytaniu książek. Mniej więcej w pierwszej, drugiej, i trzeciej klasie okazywałem zainteresowanie dla książek awanturmicznych lub opisów podróźniczych. Moim ulubionym pisarzem był Karol May i Kraszewski. Po minięciu gorączki dla tego rodzaju książek, zaczęło rodzić się zainteresowanie do powieści i tak przerobiłem jako lekturę szkolną Sienkiewicza. Po tym zetknięciu się przypadkowo z dziełami Prusa, przeczytałem je wszystkie a „Lalkę” i „Emanacyjantki” nawet dwa razy. Prócz tego przeczytałem cały szereg powieści różnych autorów. Tak zeszedł mi czwarte wakacje, i miałem chodzić do piątej klasy, kiedy ojciec zawołał mnie do pokoju i przedstawił mi całą sprawę, mówiąc: „Zubożałem ogromnie, nie jestem już w stanie wszystkich was kształcić. Dlatego postanowiłem, że ty i młodszy twój brat musicie zaprzestać dalszej nauki i rozpocząć praktykę rzemieślniczą, aby mi użyć w wydatkach, bym mógł za te pieniądze na was dwóch oszczędzone wykształcić starsze rodzeństwo”. Choć z trudem przyszedł mi się pogodzić z myślą o puszczeniu gimnazjum, rozśadek a przede wszystkim warunki materialne zwyciężyły i wstąpiłem do praktyki stolarskiej (brat mój został ślusarzem).

W praktyce po raz pierwszy zetknąłem się z ideą socjalizmu w naturalnej jej szacie, bo dotychczas miałem o socjalizmie tylko pojęcie, przez to, że nie stykałem się z jego wynawcami, a otoczenie moje w szczególności rodzice i starsze rodzeństwo byli endekami. Po wnikięciu w życie robotników socjalistów przekonałem się, że dotąd wszyscy mnie oszukiwali razem z księdzem, starając się wmówić w nas, że socjaliści to wrogowie ludzkości i cywilizacji, to ludzie o krwiożerczych instynktach, wiecznie z nożem w rękach. Odtąd zacząłem badać i analizować prądy nurtujące społeczeństwo ze stanowiska człowieka nie zaangażowanego i krytyka, bym już drugi raz nie został oszukany. Te moje badania były więcej ogólne i zamykały się w ramach mego światopoglądu z naukością socjologii, ekonomii i praktyki życia skończyłem praktykę stolarską i zdałem egzamin na czeladnika. Teraz pracą swoją nie tylko zarobiłem na siebie, ale pomagając nawet rodzicom, którzy już nie mieli żadnej gotówki ani dochodów, a dom utrzymywali i wychowywali najmłodszą siostrę przez poparcie starszego rodzeństwa. Pomimo, że ojciec mój w swoich poglądach i despotyzmie zmienił się znacznie, to jednak w stosunku do nas dzieci nie chciał dopuścić żadnej reformy w zarządzaniu swojego ja, z czym się nie mogłem pogodzić, dlatego chętnie skorzystałem z poparcia brata i wyjechałem do Bydgoszczy na posadę przy nowo budującej się kolei Śląsk—Gdynia.

I znów inni ludzie stanowili moje otoczenie. Masy robotnicze interesowały mnie coraz bardziej. Tak mrówki gryzły ziemię czy to przy budowie wykopów, szpaniu nasypów, lub przy wkopywaniu się głęboko w dna rzek dla założenia fundamentów pod filary mostu. Jedno mnie martwiło i nastrożało zagadkę do rozwiązania to, że ci sami robotnicy, wprężeni do jarzma kapitalistycznego, te marne, kosztem tak ciekawej pracy zdobyte grosze, przepuszczali w knajpach na piątyce i kartach, co u ojców rodzin działało się z krzywdą ich żon i dzieci. U wszystkich zaś to plawienie się w bagnie nałogów składało się na krzywdę całego proletariatu, bo jak im nieraz tłumaczyłem, że te rzuczone w błoto pieniądze powinni obrócić na podniesienie osobistej oświaty i kultury przez prenumerowanie czasopism czy kupno książek. Z tymi rzeczami tam na Pomorzynie mogłem się pogodzić i miałem nawet żal do robotników, że przez nałogi przedłużają własną niewolę, dźwigając na skrzwawionych rebrach kajdany krzywdzącego ustroju. Łamięłówkę tą rozwiązałem dopiero znacznie później, będąc już w Krakowie, o czym będę jeszcze pisał.

## „CZARNO NA BIAŁEM”

Już ukazał się Nr 10 z dn. 6. III. br. „Czarno na Białem” i zawiera art. wstępny — Zwycięstwo Anthony Edena; art. prof. M. Michałowicza — „Skazy na duchu”; A. Gramin — Cienie włoskiego Imperializmu; Teruel omawia Krystyn Ostroga; I. R. o Szwajcarii; R. Lessel — Federalizm społeczny; Artykuł o Kongresie Stronnictwa Ludowego; szereg felietonów, kronik itp. — Po za tym redakcja „Czarno na Białem” ogłasza, że skarży o zniesławienie „Wieczór Warszawski”.

## NA MARGINESIE

### Zwycięstwa hitlerowskie

Nieki dr Manfred Pechau próbuje w „poważnym” hitlerowskim piśmie „Nationalsozialistische Monatshefte” dać przegląd osiągnięć hitlerowskich... w dziedzinie języka. Po krótkim rozprawieniu się z Rewolucją francuską i innymi „rozkladowymi” — czynnikami, autor przeciwstawia im „budujący” wpływ jaki wywarł na język niemiecki hitlerizm. Oto przykłady nowych słów: „Braunhemden”, autor wywodzi je od „Feldgrauen”, włoskie czarne koszule poszły niestety w zapomnienie, „Novemberverecher” (zbrodniarze listopadowi), listopadowe lotry, sepy rewolucyjne, krety parlamentarne — wszystko to o uczestnikach rewolucji 1918 r. Reputacja weimarska? — republika giełdowa, demokracja dziennikarzy, aferzy słów. Sztandar republikański — czarno — czerwono — musztardowa szmata Sklarka. Wersal — pokój — shylockowski, katowski, kosztowny zakład wyzyskiwaczy. Prasa — „Pressefreiheit (bezczelność prasy zmiat — freiheit — wolność) „Pressekanaille”. Najlepsze i najbardziej zasadnicze są w/g autora wyrażenia: bagno rasowe, dusza łąsy, walka człowieka nordyckiego z podczłowieczstwem. Kościół — to „Dunkelmänner” (obskuranci), papież — „Kuglarz rzymski”.

„Pozytywna” przebudowa stworzyła słowa „powstanie narodowe” (odpowiednik — nasz rodzinny „przełom narodowy”) „Gleichschaltung”, „Machtübernahme” i t. d.

Trzeba przyznać, że wrocie zjawiska scharakteryzowane są lepiej, niż osiągnięcia własne. Całe to jednak niewybredne, często ordynarne słownictwo na łamach reprezentacyjnego ideowego pisma hitlerowskiego — to niewątpliwie samo przez się już jest osiągnięciem i kto wie, może najbardziej realnym ze wszystkich zwycięstw hitlerowskich.

### Droga do wolności?

Jean Giono poruszył ostatnio b. ciekawą zagadnienie — stosunku jednostki do zbiorowości. Giono twierdzi, że indywidualizm daje największe możliwości różni człowieka. Wymienia on t. zw. heroizm kierowany zbiorowością (wojną), który prowadzi do niewoli, również i w ustroju obecnym. „Bohaterstwo kierowane nie tworzy nic. Było ono w użyciu od zarania życia społecznego; u stosy obrońców jego są wyższe od gór i posłużyły one jedynie po to, by zniszczyć tych ludzi w swoim plomieniu. I jeśli bohaterstwo to coś stworzyło, to chyba ten system, w którym żyjemy obecnie: całkowite użycie ludzi przez człowieka; totalna pogarda ludzi przez człowieka, który stworzył najwięcej bodaj niskich namiętności, niszczących naszą naturę fizyczną... Daj swej samotności sens logiczny. To jest jedyny bohaterstwo, które ci jest dostępne. Bez niego jesteś niczym, należysz do innych. Bądź takim bohaterem: jesteś wszystkim, jesteś wolny”.

Konflikt między jednostką i zbiorowością jest zagadnieniem tak starym, jak stare jest państwo. Nie można odmówić Giono niezwykłej trafności i bystrości w krytyce istniejącego stanu. Dużo zastrzeżeń nasuwa jednak jego wniosek indywidualistyczno-anarchistyczny. Współdziałanie ludzi, wbrew temu, co twierdzi Giono, jest warunkiem koniecznym życia na ziemi, chodzi tylko o to, że należy stworzyć nowe formy, nowe ramy tej współpracy, odrzucając stare, przestarzałe. Wolność nie jest równoznaczna z samotnością, bo samotny człowiek jest w niewoli u siebie samego.

### Zgleichschaltowane samobójstwo

Czytelników gazet niemieckich uderza ogromne rozpowszechnienie... nieodwzajemnionej miłości. Chyba wszystkie Grethen mają serca z żelaza, że dopuszczają do takiej ilości samobójstw, oprócz bowiem przyczyn romantycznych w rubryce samobójstw spotykamy czasem tylko „choroby nieuleczalne”, jako powód dobrowolnego opuszczenia tego padłego płaczu. Dziwnym trafem nie spotykają się wcale tak powszechne na całym świecie

trudności materialne, częstokroć przecież zmuszające człowieka do targnięcia się na swe życie.

Zagadka tłumaczy się niezwykle prosto. Oto p. Goebbels, minister propagandy we wszystkich dziedzinach, a więc i w dziedzinie śmierci najwzyczajniej w świecie skreślił pierwsze słowo słynnego schillerowskiego „głód i miłość rządzą światem”. O głodzie pisać nie wolno, ludzie „zmuszani” są (wybór przyczyn jest ograniczony) popęlić samobójstwa „z miłości”.

W tym kraju nowoczesnej romantyki są jeszcze, jak twierdzą złośliwi, również t. zw. wrogowie państwa, lecz i dla tych istnieje jedna jedyna droga, dobroć, wolna czy też zmuszona — samobójstwo. Naturalnie z „nieuleczalnej miłości” — do prawdy i wolności.

### John D. Rockefeller

W związku ze śmiercią znanego miliardera pisma przypominają jego ofiarność na cele publiczne. Oto w ciągu dłu-

### B. A. NISENHOLC

#### Nauka wojenna w geografii niemieckiej

Od czasu objęcia rządów przez Hitlera uczyniono z geografii narzędzie dla propagandy partii narodowych socjalistów.

W ten sposób i geografia stała się całkowicie instrumentem systemu hitlerowskiego.

Wieszczęm geopolityków niemieckich jest Karol Haushofer, profesor uniwersytetu monachijskiego. Geopolitykę, którą nazwał „nową nauką”, stworzono dla wyraźnych celów politycznych w Niemczech powojennych.

System ten najwyraźniej koliduje z oficjalną nauką geografii, której czołowym przedstawicielem jest Albrecht Hettner. Hettner spreycyzował tę nową naukę wyraźnie jako politykę, odmawiając jej cech naukowych. Szkole Hettnera, broniącej czystej nauki, zarzucono starczy brak elastyczności ducha. Rewolucja nazistowska w Niemczech wycisnęła swe piętno zarówno na naukę geografii, jakoteż na geopolitykę.

W tym miejscu należy wskazać na podręcznik szkolny geopolityki szkolny geopolityki z r. 1929 Hansa Simmera p. t. „Grundzüge der Geopolitik”, który prawie w każdym rozdziale „mówi o konieczności wojny z nieprzyjaciółmi Niemiec”, do których zalicza przede wszystkim Polskę i Francję i wskazuje młodzieży niemieckiej, że zwycięży w niej ten, kto wykaże silniejszy pęd do życia („Lebenswille”).

Jako dowód przychylnego odnoszenia się dawnego rządu niemieckiego do geopolityki służyć może fakt, że podręcznik ten uznany został jako oficjalny podręcznik szkolny, nauka geopolityki zaś wprowadzona została do planów nauki. „Sam fakt propagandy wojennej był jednak wstydliwie przemilczany”. Wraz ze zdobyciem władzy przez Hitlera oblicze sprawy zmieniło się. Pierwszą książką „wojenną” jest dzieło Karola Haushofera p. t. „Wehr-Geopolitik” w której spisie rzeczy znajdujemy następujące rozdziały: Geopolityczne podstawy dzisiejszych spraw wojennych. Nauka o wojnie i wojenno-geograficzne pojęcia z fizycznej geografii. Biograficzna nauka o wojnie. Antropogeograficzna dynamika. Techniczno-wojenna antropogeografia krainy zmienionej przez nasiloną kulturę. Wojenno-geograficzna swoboda ruchów.

Sposób realizacji tego programu wyjaśnia artykuł prywatnego docenta, dra Fryderyka Papehna z Drezna w zeszytach 30 i

giego życia Rockefeller ofiarował 750 milionów dolarów to znaczy, że od urodzenia Chrystusa, jak to obliczył jakiś matematyk, wypadła 1 frank co minutę, albo 18 tysięcy franków co godzinę od dnia, w którym Żydzi przeszli przez morze Czerwone.

Dał więc Rockefeller ludziom niemalo, czy jednak więcej, niż od nich wziął? Zarobił on w ciągu życia bagatelę 2 miliardy przeszło dolarów, nie trzeba chyba dodawać, jakim kosztem i czyją pracą. Mając ogromne, decydujące wprost wpływy na wszystkie gałęzie przemysłu, a przede wszystkim na przemysł naftowy, Rockefeller należał do tych kilku nastu, którzy decydują o życiu, majątku i szczęściu milionów, nie dolarów, lecz ludzi. Sposoby zwalczania przez Rockefellera konkurencji są niemal przyszłościowe. W jaki sposób „nafta rządzi światem” wiemy również. Z tym wszystkim trudno zaliczyć mimo wszystko amerykańskiego miliardera do dobrodziejów ludzkości.

## UWAGI

### Swój do swego

Współpracownik monarchistycznego pismka rosyjskiego „Miecz” z stał przyjęty przez „przedstawiciela” (?) hiszpańskich powstańców w W—wie Don—Juana Serrat y Valerę, który u dzielił mu wywiad. Nie słyszeliśmy prawie nic o przedstawicielach Franca w Polsce, tak że pod tym względem wywiad ten stanowi dla nas pewnego rodzaju rewelację. W każdym razie o oficjalnym uznaniu misji Don Juana nie ma naturalnie mowy, gdyż Hiszpanię przy Rządzie Rzpltej reprezentuje poselstwo naturalnie Republiki Hiszpańskiej.

Co do wywiadu samego—to są rzeczy znane na ogół... z IKC, warto podkreślić, że „ustrój państwowy nowej Hiszpanii będzie narodo—syndykalistycznym tzn. korporacyjnym, osnutym na tradycjach ludu hiszpańskiego i „nieparlamentarnym”, oraz twierdzenie, że „sprawiedliwość społeczna, jest jedną z „podstawowych zasad nowej Hiszpanii”. Sapienta sat.

### Chcecie prawdy?

„Kultura” donosi, że zwrócono się do marsz. Smięgo w sprawie pominięcia w audycjach radiowych roli duchowieństwa podczas powstania styczniowego. Panom ze związku chodzi naturalnie o stwierdzenie oficjalne, że duchowieństwo było z narodem w jego walce o niepodległość.

Ale jeśli wyświetlać prawdę, to już całkowicie do ostatka. Bynajmniej nie przeczyni że liczył księża, ci biedniejsi, wzięli udział w walce z zaborcą, duchowieństwo jednak w swej masie, a nade wszystko kierownicy oficjalni kościoła katolickiego, nietylko zresztą w Polsce, bo w... Watykanie! potępiło powstanie i namawiało wiernych do uległości. Kilka próbek takich wezwań przytoczyliśmy w numerze 3 naszego pisma, pomnożyć je byłoby wcale nie trudno. Tak się przedstawia stan faktyczny.

Mamy wrażenie, że katolicki związek słuchaczy postąpił conajmniej nierozważnie, starając się sprawę rozdmuchać. W interesie duchowieństwa to chyba również nie leży.

### Austria kapituluje

Schuschnigg zmuszony został do przyjęcia warunków Hitlera. Nie widzimw zasadniczej różnicy między faszyzmem austriackim a niemieckim, chodzi tylko o to, że „Anschluss” oznacza wzrost Hitlera, oznacza krok dalszy ku wojnie.

I jeszcze jedną rzecz warto podkreślić. Wszystkie ofiary krwawego 1934r. okazały się daremne. „Katolik” Dolfuss, inicjator i wykonawca rzezi, zabity został przez hitlerowców, by następcą jego skapitulował przed nimi. Podzielaemy zupełnie pogląd „Nowej Prawdy”, która pisze:

W ten sposób zakończyły się dzieje eksperymentu podjętego w Austrii dośkładnie przed 4 laty. Uznano tam wówczas, że najlepszą zaporą przeciwko fali hitlerizmu jest nie oparcie się o najszerzą masę ludności, ale... oddanie się pod protektorat możnego sąsiada z południa. Licząc się upodobaniami tego sąsiada, zniszczono w państwie wolności demokrację, rozwiązano stare partie, ludząc się, że życie publiczne przywróconego do swobod politycznych kraju, uda się zamknąć w ramach monopartyjnego „frontu patriotycznego”.

Eksperyment, chociaż w łagodnej przeprowadzony formie, zawiódł zupełnie. Mas w całości z reżimem nie pogodził, a włoski protektor w chwili krytycznej... umył ręce. Potwierdziło się jeszcze raz, że każdego, kto chce wypędić diabła przy pomocy belzebuba, na końcu tej ryzykownej drogi czeka zawsze — klęska!

Można naturalnie dyskutować o „łagodności” eksperymentu — jedno jest pewne, że totalizm nie potrafił obronić kraju, że kanclerz, nie czując za sobą oparcia mas ludowych, musiał skapitulować. Skutki tej kapitulacji okażą się w przyszłości.

### Wspomnienia...

Wspomnienia to rzecz b. przyjemna, zwłaszcza wspomnienia młodości. Ale rzeczywistość tak często brutalnie obala i psuje. Np. p. Nowina miała cudowne wspomnienia o Paryżu — cudne pomniki, mnóstwo samochodów, strojne kobiety, magazyny, gdzie można kupić za bezcen... Wybrała się ona niedawno znou do Paryża i opisuje swe wrażenia w „Płomieńczyku”. Rozczarowanie kompletne. Plac Zgody „zepsuli” wejściem na wystawę. Stroje, elegancja? Nie ma, wszystko znikło, znikł również przyszłościowy humor francuski. Sklepy? „To samo znajduję w W—wie, tylko znacznie taniej...” 40-to godzinny tydzień pracy — to nowa zmora, strajk taksówek — to katastrofa, w dodatku pociąg spóźnił się. Jakież więc z tego wnioszek?

„Kocham Francuzów, ich piękny kraj i starą kulturę, a Paryż zabrał mi dawno kawałek serca, ale... ale nie lubię tej ich wolności i myślę jadąc do Warszawy: A jednak w Polsce jest lepiej!”

A trzeba było cioci posłuchać i w domu siedzieć, bo wiadomo, moja pani...

### ODPOWIEDZI REDAKCJI

L. R. (W-wa): Czy możemy wykorzystać na łamach innego pisma z uwagi na ujęcie tematu? Za pozdrowienia i życzenia serdecznie dziękujemy.

J. Miel. (W-wa): Nie pójdzcie.

B. A. N. (W-wa): Numery wysłamy. Co do innych spraw odpowiedź później.

Kaz. Jar. (Lublin): Pamiętajmy o tym. Numer okazowe wysyłamy.

A. F. (W-wa): Ujęcie tematu zbyt uproszczone. Dużo truizmów.

E. S. (W-wa): Slabo opracowane.

L. K. (Łódź): Ujęcie — niestety — nie dla naszego pisma. Raczej dla dziennika. Proponujemy na początek reportaż z swego terenu pracy.

R. R. (Tarnów): Należy jeszcze dużo pracować. Odłożyć narazie pisanie — czytać.

H. R. (Kielce): Na pow. temat mamy już artykuł zamówiony. Przesłany jest raczej notatką dziennikarską. Artykuły odsyłamy.

M. N. (Stanisławów) — Miecz. Kal (Bielsko): Zamieścimy w nast. numerach.

### KSIĄŻKI NADESLANE

Marian Kubicki — Pieśni bosc — Warszawa — nakł. Bibl. „Ugorów” — 1937.  
Lech Piwowar — Co wieczer — Poezje — Kraków—Warszawa — nakł. Wyd. Gebethner i Wolf — 1937.

Alfred Wizner — Slady czasu — Warszawa — nakł. wyd. F. Hoetsicka — 1938.

## „ŻARTY NIE NA ŻARTY”

Pozostałe egzemplarze zbioru bajek

**BENEDYKTA HERTZA**  
są do nabycia u autora.

Cena zł 5-50, z przes. poczt. zł 6-—

Adres: Podkowa Leśna pod Warszawą. Tel. 86.

### Od wydawnictwa.

PRENUMERATORÓW „ALBO-ALBO” PROSIMY O UREGULOWANIE ZAŁĄCZONYM PRZEKAZEM PRENUMERATY ZA II-GI KWARTAŁ 1938 r.

KAŻDY CZYTELNIK, KTÓRY ZJEDNA PIĘCIU PRENUMERATORÓW DLA NASZEGO PISMA OTRZYMA BEZPŁATNĄ PRENUMERATĘ.

W numerze poprzednim skonfiskowany został m. in. artykuł Emila Zegadłowicza.

### REDAGUJE KOMITET

Redakcja i Administracja: Kraków, Plac Zgody 4, I p. tel. 185-18

Czynne: poniedziałek, piątek w godzinach między 12 — 13.

Kartoteka rozrachunkowa Nr 62 Kraków 2, „albo-albo”

### CENA PRENUMERATY

kwartalnie: zł 1.70, — półrocznie: zł 3.20 — rocznie: zł 5.—

### CENA OGŁOSZEŃ

1/2 str. 450.— 1/4 str. 250.— 1/8 str. 130.— 1/16 str. 70.— 1/32 str. 40.—

Konto P. K. O. Kraków 404 181